Kamena

Wychodzi od 1933 r.

Egzemplarz obowiązkowy

LUBLIN 21.XI.1971 Nr 24 (483) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

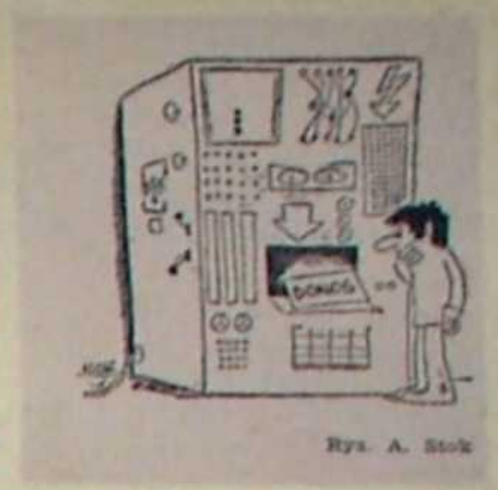

Rys. A. Stok

Tajemnica mieszkania przy ul. Chrobrego 4

Maciej Podgórski

WYOBRAŹMY sobie mieszkanie spółdzielcze w dużym bloku oddanym ludziom do użytku przeszło półtora roku temu, piękny trzypokojowy lokal M-4 (z widną kuchnią) na pierwszym piętrze, cały czas świecący pustką, mimo że od początku lokatorzy są w nim zameldowani, a nawet ongiś, też na początku, wymieniono w tym mieszkaniu parkiet, położono glazurę gdzie trzeba, pomalowano ściany oraz w dwu pokojach zawieszono zasłony. Fantastyczne? Bynajmniej — całkowicie rzeczywiste!

I tak oto w lokalu numer 7 bloku Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej przy ul. Bolesława Chrobrego 4 zamieszkał dla dziennikarza temat, właśnie dlatego że nie zamieszkali tam ludzie, aczkolwiek na liście lokatorów widnieje nazwisko: Buczkowski Lech, a zameldowana jest jeszcze jego żona i 2,5-letni syn. Sąsiedzi z piętra dziwują się tej sprawie: zasłony w dwu pokojach wiszą, widać to z zewnątrz, ale nigdy nie pali się światło w żadnym z pomieszczeń, ani nikt spod „siódemki" nie uczestniczy w okresowym sprzątaniu klatki schodowej. Opinia jednego z sąsiadów: „To jest skandal! Tyle rodzin gnieździ się w norach i suterenach, a tu mieszkanie stoi wolne!"

Wyznam, że po dokładniejszym zorientowaniu się, kim są główni bohaterowie tej historii, długo dumałem, czy w ogóle o tym pisać. Teraz, kiedy dziennikarz może bardziej dynamicznie penetrować rzeczywistość i szerzej dobierać tematy, wzrasta równocześnie jego osobista odpowiedzialność za słowo, musi on pieczołowicie wyważać społeczne zyski i straty, mogące wyniknąć z publicznego ujawnienia określonych spraw. Powstało zatem pytanie, czy więcej jest w tej historii zwyczajnej grandy, czy okoliczności usprawiedliwiających? Dużo jest poczucia bezkarności, chyba z racji piastowanej funkcji i stanowiska? I czy byłoby dobrze, gdyby się to w szeptanej opinii społecznej przerodziło w kwasy jakoweś i nieporozumienia? I jeszcze jak wiele w tej historii jest ewidentnego kłamstwa, które szczególnie drażni?

Dokończenie na str. 8—9

Nasze dyskusje

Jak wykształcić model Polaka?

Jak wykształcić model Polaka na dziś i na jutro — oto temat kolejnej dyskusji, która odbyła się w naszej redakcji. Udział w niej wzięli: mgr Ewa Janik — członek Sekcji Humanizacji Pracy TNOiK, doc. dr hab. Bohdan Komorowski — kierownik Zakładu Pedagogiki Studium Pielęgniarstwa AM, mgr Jadwiga Mizińska — asystent Zakładu Marksistowskiej Filozofii i Socjologii Instytutu Nauk Pedagogicznych i Filozoficznych UMCS, dr Feliks Olesiejuk — dyrektor Technikum Geodezyjno-Drogowego, doc. dr hab. Mieczysław Subotowicz — kierownik Zakładu Fizyki Doświadczalnej Instytutu Fizyki UMCS oraz z ramienia redakcji — red. Jerzy Dostatni, red. Marek Adam Jaworski i doc dr Zygmunt Mańkowski.

Jaworski: — Dyskusji w redakcji przeprowadziliśmy już wiele, ta jednak szczególnie łączy się z Wytycznymi i z samym Zjazdem Partii. Problem jest poważny i szeroki, dlatego z góry można założyć, że będziemy mówić o wielu sprawach...

Mańkowski: — Właśnie. Niemniej główny sens Wytycznych sprowadzam do tezy, że cały naród stoi w przededniu dźwignięcia kraju we wszystkich dziedzinach na szczebel jakościowo nowy i wyższy, że chodzi o to, aby nadążyć za wymogami rewolucji naukowo-technicznej. Nasz potencjał ekonomiczny, nasze zdolności organizacyjne, nasza wydajność pracy nie stoją w należytej proporcji do naszych sąsiadów, do przodujących krajów Europy. A tymczasem współczesna cywilizacja narzuca jeszcze dalsze wymogi. Produkcja stała się procesem złożonym, wymaga uruchomienia ogromnych sił ludzkich, zdolnych i pracowitych, energicznych, światłych i zaangażowanych. Czy wystarczą bodźce ekonomiczne, aby tę sprawę rozwiązać? Jak wykształcić wzorzec, model Polaka, jaką świadomość wpoić, aby Polak był zdolny do dokonania szybkiego postępu, aby nie przegrał w wyścigu, jaki dokonuje się na całym świecie? Tematem naszej dyskusji byłoby, jak sądzę, omówienie treści i sposobów kształtowania nowych postaw zarówno w pokoleniu obecnym jak i w następnych.

Dostatni: — Mnie osobiście gnębi to, że w podobnych dyskusjach zapominamy o sprawach etyki i moralności. Te sprawy są zaniedbane w procesie wychowywania i kształcenia zarówno obecnego jak i poprzedniego pokolenia, a także w życiu codziennym. Oby tak nie było dalej. Co należy rozumieć przez etykę socjalistyczną? Dorobek naukowy w tej dziedzinie jest mały, wycinkowy. Gdyby dziś wprowadzić do szkół lekcje etyki, to każdy z prawie 300 tysięcy nauczycieli rozumiałby przez to zupełnie coś innego.

Mizińska: — Sprawa stosunku do pracy jest tylko elementem współczesnej postawy Polaka. Tu należałoby zacząć od celów wychowania. Dzisiejsza pedagogika nie potrafi jednak tych celów sprecyzować, podawane przez nią cele są bardzo ogólnikowe. Czy my, pedagodzy, powinniśmy czekać, aż ktoś u góry skonkretyzuje je i wymyśli metody realizacji? Chciałabym powołać się na stanowisko doc. dr. Cackowskiego, że czekanie, aż ktoś ogłosi tablice mojżeszowe wychowania, jest postawą śmieszną i że obowiązkiem człowieka jest również twórczość na polu etyki. Wychowanie człowieka twórczego jest ideałem wychowania socjalistycznego, ale ta twórczość powinna dotyczyć także etyki. I jeszcze jedno. Ideałem tradycyjnej pedagogiki jest uczenie szacunku dla pracy fizycznej. Moim zdaniem jest to przestarzały, a nawet szkodliwy pogląd.

Ciąg dalszy na str. 6—7

Władysław Marian Jurgo — człowiek, który 21 lipca 1944 roku zlikwidował w więzieniu na Zamku obersturmführera Tanzhausa, zwanego „Krową". Artykuł na ten temat zamieszczamy na str. 3.

Odważnie i rozważnie

W dyskusji przedzjazdowej „Odważnie i rozważnie" zabierają dziś głos: Bogdan Madej, literat i dr Stefan J. Buksiński, nauczyciel Liceum Ogólnokształcącego im. A. J. Czartoryskiego w Puławach.

Idzie rewolucja egzystencjalna

Bogdan Madej

GDYBYŚMY, mówiąc o wzajemnym związku życia politycznego, gospodarczego i społecznego oraz kultury, pokusili się o przeprowadzenie komputerowej analogii, niechybnie doszlibyśmy do stwierdzenia, że trzy pierwsze dziedziny — gospodarka, polityka i kształt życia społecznego — są danymi wejściowymi przetwarzanymi w olbrzymim urządzeniu, kultura zaś jest produktem wyjściowym, sumą znaków i świadectw umożliwiających przeprowadzenie nieomylnej diagnozy stanu zdrowia społecznego czy państwowego organizmu. Kultura jest wytworem ostatecznym. W tym sensie życie kulturalne narodu i charakter powołanych przezeń instytucji kulturalnych są zarówno niezwykle czułym rezonatorem, jak i niezwykle precyzyjną aparaturą projekcyjną, rzucającą na tło życia politycznego, społecznego i gospodarczego ostateczną barwę i kształt duchowego bytu narodu, oddziaływającego na poprzednie aspekty zgodnie z zasadą sprzężenia zwrotnego.

Rozumienie kultury jako dziedziny stojącej na pograniczu rozrywki i rekreacji jest nieporozumieniem o wielkich i złych konsekwencjach. Składnikami kultury — powiada Ferkiss — są w równej mierze *nauczanie i sztuka, stosunki między płciami i pokoleniami, literatura, filozofia i religia*. Wszystkie istnieją obok siebie i wszystkie w sposób dostrzegalny albo niedostrzegalny drążą, tworzą oraz przetwarzają ludzkie postawy, kreują zasady wartościowania moralnego, budują światopogląd i odwołują się do niego, powołują kodeks moralny regulujący wzajemne zachowania jednostek, grup społecznych i organizmów państwowych.

Stopień samoświadomości człowieka wzrastał w ciągu stuleci, nieraz w postaci przełomów rewolucyjnych. Człowiekowi, który nie dostrzegał wpływu techniki i nauki, medycyny, biologii oraz fizyki na tworzenie się nowych struktur społecznych i światopoglądów, groziło zawsze wyrzucenie na brzeg, stawał się przeżytkiem, nie rozumiał swojego świata i własnego czasu, egzystował w mrokach ignorancji oraz destrukcyjnych tęsknot do przeszłości. Jeżeli śledził wpływ własnych wytworów na siebie, mógł świadomie kształtować siebie i kształtować również, zgodnie z potrzebami, a nie w myśl przesądów i kabalistycznych proroctw, istniejące instytucje oraz przekształcać i powoływać nowe, niezbędne i funkcjonalne.

Dokończenie na str. 6—7

teatrnn.pl

Kultura 1971

Zmarli

● 89-letnia Janina Porazińska, autorka zbiorów poezji, baśni i opowieści historycznych, a także tłumaczka z literatur szwedzkiej i fińskiej. Współzałożycielka „Płomyka", tworzyła głównie dla dzieci i młodzieży. Urodziła się w Lublinie.

● 71-letnia Jadwiga Smosarska, najpopularniejsza w okresie międzywojennym aktorka filmowa. Grała główne role w filmach: „Trędowata", „Księżna Łowicka", „Prokurator Alicja Horn" i in. Występowała także w kilku teatrach. W latach 1939—1970 żyła w USA.

Literatura

● W okresie powojennym ukazało się około 4 500 książek literatów polskich w przekładach na języki obce, w tym około 2900 pozycji ukazało się w krajach europejskich.

● W ostatniej sesji norwidowskiej w Warszawie brał również udział młody poeta litewski, Tomasz Venclova, tłumacz literatury polskiej. Zwrócił on uwagę, że Norwid nie tylko był (po mieczu) pochodzenia litewskiego, ale i jego nazwisko ma również semantykę litewską. Składa się ono z dwóch pierwiastków: „noretí" oraz „wid", co można przetłumaczyć jako „ten, który chce widzieć".

● W ciągu kilkunastu dni wyprzedano w NRD tłumaczenia „Opowiadań" T. Różewicza, „Strachów w Biesalu" J. Putramenta oraz „Godzin szczytu" J. Stawińskiego.

● Kontrkandydatami Pablo Nerudy do literackiej nagrody Nobla byli pisarze francuscy Louis Aragon i Andre Malraux, Anglik Graham Greene oraz zachodnioniemiecki pisarz i polityk Guenter Grass.

● Louis Aragon wydał nową, dwutomową powieść pt. „Henri Matisse". Autor napisał nie tylko biografię znakomitego malarza, ale szeroko przedstawił źródła jego inspiracji twórczej. Książka ozdobiona jest reprodukcjami 550 dzieł Matisse'a.

● Do Akademii Goncourtów został wybrany Robert Sabatier, w roku ub. laureat wielkiej nagrody poetyckiej we Francji, autor słynnej powieści „Les Allumettes Suedoises".

Teatr

● W Teatrze Polskim w Poznaniu odbyła się polska prapremiera sztuki NRD-owskiego pisarza Rolfa Schneidera pt. „Król i złodziej" w tłumaczeniu Huberta Orłowskiego. Reżyserował Andrzej Ziębiński.

● Białostocki teatr dramatyczny wystawił polską prapremierę sztuki współczesnego dramaturga węgierskiego Laszlo Gyurko — „Elektra moja miłość".

● Wrocławska „Pantomima" przygotowuje wznowienie swego głośnego przed laty spektaklu — „Ogród miłości", według scenariusza i w reżyserii H. Tomaszewskiego. Program ma być wreszcie pokazany w telewizji, jeszcze w listopadzie.

● W Pałacu Sportowym Brukseli „Balet XX wieku" Bejarta zaprezentował widowisko „Niżyński — clown boży", inspirowane momentami biograficznymi z życia wielkiego tancerza rosyjskiego polskiego pochodzenia. W roli Niżyńskiego — młody Argentyńczyk Jorge Donn. W ciągu kilku dni sprzedano 75 tys. biletów.

● W paryskiej Comedie-Francaise odbyła się prapremiera nowej sztuki Jean Anouilha — „Becket". Dramat pokazuje postać Thomasa Becketa — kanclerza, doradcy i przyjaciela króla Anglii Henryka II. Krytyka uznała, że jest to swego rodzaju wznowienie tematu, omówionego dość dokładnie przez wcześniejszą o kilka lat sztukę H. Montherlanda.

● 55-letni aktor niemiecki, Curd Jurgens, objął dyrekcję teatru paryskiego „Herbertot", inaugurując swoją karierę dyrektorską sztuką „Zabawy dziecięce" R. Marasco i P. Quentina. Jurgens zapowiada, że w swoim teatrze chce połączyć świątynię sztuki z interesem.

● Wielkim powodzeniem w Szwecji cieszy się mało dotychczas znana sztuka Strindberga — „Margit". Jest to chyba jedyne dzieło tego autora nie demonizujące roli kobiety, a odwrotnie — domagające się przyznania kobietom należnych praw.

● Na wiosnę ma być oddany do użytku w Londynie odnowiony i zrekonstruowany „Globe Theatre". Budynek i sala będą wierną kopią budynku sprzed 350 lat — widownia bez sceny i kurtyny, brak dekoracji, orkiestra z dawnych instrumentów. Repertuar ma objąć tylko mistrzów teatru elżbietańskiego, na otwarcie „Makbet".

Sztuka

● W starym zamku w Szydłowcu powstaje muzeum instrumentów ludowych. Wśród stu eksponatów znajdują się także cymbały, bardzo podobne do tych, na jakich grał Jankiel.

● Pisaliśmy niedawno, że prof. dr Zdzisław Kępiński wystąpił z tezą, iż znajdujący się w Książnicach Wielkich polityk jest dziełem Wita Stwosza. Na posiedzeniu Komitetu Nauk o Sztuce PAN, gdzie prof. Kępiński przedstawił swoje poglądy, znaczna większość dyskutantów twierdziła, iż przedstawione argumenty nie są dowodami i sprawa autorstwa polityku nadal zostaje otwarta.

● Najlepiej zachowanym i najciekawszym zabytkiem budownictwa świętokrzyskiego okazała się zagroda w Bodzentynie, złożona z domu mieszkalnego i zabudowań gospodarczych, wybudowanych przed 189 laty. Po rekonstrukcji całość będzie można zwiedzać.

● Zdaniem komisji ekspertów, powołanej przez UNESCO dla zbadania aktualnego stanu zabytków i dzieł sztuki we Włoszech, rząd tego kraju do roku 1980 powinien wydać na konserwację i renowację tych dzieł prawie 3,5 mld dolarów.

● Na dnie morza koło Sycylii archeolodzy brytyjscy odnaleźli siedem dobrze zachowanych statków fenickich.

Film

● Szóstym z kolei laureatem nagrody im. Andrzeja Munka, przyznawanej przez Wyższą Szkołę Filmową, Teatralną i Telewizyjną w Łodzi za najbardziej interesujący debiut w filmie fabularnym, został Andrzej Żuławski za film „Trzecia część nocy", nakręcony według noweli jego ojca — Mirosława Żuławskiego. Reżyser przygotowuje obecnie film pt. „Diabeł" według własnego scenariusza.

● Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi kończy prace nad filmem o Leonie Kruczkowskim.

● Jeszcze przed końcem roku Wrocławska Wytwórnia Filmów Fabularnych otrzyma nową halę zdjęciową oraz nowe laboratorium obróbki filmów kolorowych. Dzięki także innym inwestycjom, na które wydano około 50 mln zł, w wytwórni będzie można produkować rocznie 16 filmów zamiast dotychczasowych 10.

● W ZSRR istnieje 29 wytwórni, które produkują rocznie 135 filmów fabularnych pełnometrażowych, 35—40 pełnometrażowych dokumentalnych i popularnonaukowych oraz 1180 krótkometrażowych. Wbrew ogólnej tendencji światowej liczba widzów w tym kraju stale rośnie; w roku ub. było ich 4,7 mld. Bilety są tanie — przeciętna wynosi 23 kopiejki, najwyższa 70 kopiejek.

● Amerykański producent Elvyn Goldstein nakręcił dokument o znakomitym śpiewaku i artyście murzyńskim, P. Robesonie, pt. „Dom, w którym mieszkam". 73-letni artysta z powodu złego stanu zdrowia wycofał się zupełnie z życia artystycznego i politycznego.

● W Hollywood powstanie jeszcze jedna wersja międzywojennego bestsellera „Przeminęło z wiatrem".

● W styczniu ma odbyć się w Nowym Jorku I Festiwal Filmów Erotycznych. W ciągu miesiąca w różnych kinach ma być pokazanych 500 tego typu filmów, wyprodukowanych w ostatnich latach. Dodajmy, że będzie to „tylko" czwarta część owej produkcji.

Różne

● W Budapeszcie odbyła się kilkudniowa narada ministrów kultury krajów socjalistycznych. Mówiono m. in. o roli kultury w socjalistycznym i komunistycznym wychowaniu społeczeństwa oraz o dalszych możliwościach współpracy krajów socjalistycznych.

● Na spotkanie z opolskimi ośrodkami twórczymi — aktorami, dziennikarzami, plastykami, muzykami i pisarzami — dyskutującymi nad Wytycznymi, przybył I sekretarz KW PZPR oraz przewodniczący Prezydium WRN, biorąc czynny udział w dyskusji, a nie tylko „podsumowując".

● Katowicki ośrodek telewizyjny nadaje już, w ograniczonym zakresie, programy kolorowe. Idą one jednak „w powietrze", gdyż mimo wielu obietnic — nie ukazały się w handlu konieczne anteny i głowice.

● W roku ub. za pośrednictwem „Pagartu" wyjechało poza granice kraju 1428 solistów oraz 275 zespołów. W bieżącym roku ma być podobnie.

● Jerzy Waldorff skierował do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie skargę o zniesławienie przeciwko Piotrowi Perkowskiemu, autorowi książki „Walka o dobro kultury". Waldorff uważa, że niektóre passusy uwłaczają nie tylko jemu, ale i innym znanym osobom ze świata muzycznego.

● Ośrodek Informacji i Kultury Polskiej w Budapeszcie zorganizował w tym roku 290 pokazów filmowych, 19 wieczorów literackich, 40 wystaw oraz 29 koncertów. Słuchaczy i zwiedzających było ponad pół miliona.

● Coraz większą popularność w Meksyku zdobywa pisarka i publicystka Elena Poniatowska. Jej ostatnia powieść z 1969 r. „Hasta no verte Jesus mio" ma już 6 wydań. Przodkiem Eleny Poniatowskiej był brat króla Stasia, a dziadkiem prezes Polskiego Tow. Historyczno-Literackiego w Paryżu — Andrzej Poniatowski. Przybyła ona do Meksyku mając lat 9.

● W Semipałatyńsku na Syberii w domu, gdzie mieszkał Fiodor Dostojewski, powstaje jego muzeum, do którego ostatnio Związek Pisarzy ZSRR przesłał tysiąc książek. Dostojewski przebywał w Semipałatyńsku po czteroletnim pobycie w więzieniu, odbywając tam służbę wojskową. Początkowo mieszkał w koszarach, później w skromnym domku wraz z żoną Marią Dmitriewną Isajewą.

● Kolumbijski lekarz i publicysta, Harold Mendez Lopez, wydał książkę „Medycyna w Don Kichocie", gdzie udowadnia, że Cervantes wiadomościami z dziedziny medycyny znacznie przewyższał średni poziom wiedzy ówczesnych lekarzy, oraz że można go uważać za prekursora współczesnej psychiatrii i psychoterapii.

● Po 14 miesiącach zakończono remont budynku opery w Paryżu, a rozpoczęty przez ten czas zespół wystawił na początek „Walkirie" Ryszarda Wagnera. Krytycy twierdzą, że skutki przeszło rocznej przerwy będą widoczne w zespole jeszcze długo.

● Według ostatniego rocznika ONZ najwięcej książek w 1969 roku wydano w ZSRR — 74 614, następnie w USA — 62 602. Dalsze miejsca zajmują: NRF, Wielka Brytania i Japonia.

● „Kiedy młody autor pyta mnie o radę, zalecam mu przede wszystkim, aby odnaczył się myśleć... Nie ma podstaw, aby wątpić w całkowitą amoralność naszego społeczeństwa" — powiedział Marcel Duhamel, paryski wydawca tzw. „Czarnej serii". Są to kryminały najgorszego gatunku, w których wbrew dotychczasowym regułom — dobro nie triumfuje nad złem, ale odwrotnie.

Lubliniana

● Pod koniec października odbył się tygodniowy, szósty z kolei Nasz Mały Festiwal, organizowany przez Estradę. Z wyjątkiem „Patate" program był wartościowy i udany.

● Filharmonia Lubelska podjęła ciekawy eksperyment. Wspólnie z Okręgowym Ośrodkiem Metodycznym będzie dawała cykle 4 koncertów dla starszych dzieci przedszkoli.

● W domach akademickich powstał nowy klub studencki — SEK. Oby nie podzielił losu wielu swoich poprzedników!

Kamena str. 2

Moje dwa grosze

Marek Adam Jaworski

KILKAKROTNIE już w moich dawnych felietonach (podpisując się „Jacek") polemizowałem — chyba ciepło i żartobliwie — z Lesławem Gnotem, redaktorem naczelnym „Kuriera Lubelskiego", który w cotygodniowej rubryce „Moje trzy grosze" przedstawia na łamach swego pisma takie czy inne poglądy. W większości wypadków poglądy te w pełni aprobowałem, gdyż autor kierował się dobrem publicznym i, jak wiemy, w tzw. minionym okresie nie zawsze jego publikacje spotykały się ze zrozumieniem. Oczywiście nie znaczy to, że zgadzaliśmy się we wszystkim, stąd też od czasu do czasu replikowałem, wychodząc z założenia, iż wymiana myśli — a na nadmiar tego typu wymiany nigdy nie mogliśmy narzekać — może wnieść nieco fermentu do naszej lubelskiej prasy zbyt — jak na mój gust — grzecznej, układnej, raczej klajstrującej niż wojującej. Sądzę, że nie muszę tej sprawy bliżej wyjaśniać. Aby jednak postawić przysłowiową kropkę nad „i", nie chciałbym, by w sformułowaniu „wojującej" ktoś doszukiwał się politycznych podtekstów. Założona w 1933 roku „Kamena", już w czasach sanacji oficjalnie zdeklarowała się po lewej stronie barykady, dlatego też mogła odrodzić się po wojnie, kontynuując w zmienionych warunkach — już znacznie łatwiej — ten program, jaki założyciele pisma (a nazwiska ich widnieją w stopce każdego numeru) przed „Kameną" postawili.

Piszę o tym dlatego, że przeczytałem felieton red. L. Gnota („Moje trzy grosze") zamieszczony w „Kurierze Lubelskim" z 31.X—1.XI.1971 roku. Byłbym nie w porządku wobec „Kameny" i wobec siebie, gdybym rzecz przemilczał, co wcale nie oznacza, że nie ma spraw, na które również nie mógłbym spojrzeć samokrytycznie. Ale metoda polemiki zastosowana przez red. L. Gnota przypomina mi chwilami ten okres naszej powojennej historii, do którego dzisiaj wracać by nie należało.

Swój felieton zaczął red. L. Gnot od stwierdzenia, że każdy kolejny numer „Kameny" wyzwala w nim sprzeczne uczucia. Z głęboką satysfakcją obserwuje drugą młodość tego pisma, śmiałość i zaangażowanie w wiele najistotniejszych spraw dzisiejszego dnia. *Widzę* — stwierdza autor — *jak z młodych piór, takich jak Wiśniewski, Dorecki i inni wyrastają znakomici reportażyści, dziennikarze — jak się to mówi — całą gębą. Mocny akcent, jaki położyła „Kamena" na procesy odnowy, rozwijające się w naszym kraju, również jest, moim zdaniem — elementem nader pozytywnym, żeby nie powiedzieć decydującym.*

Ciemy ta pochwała. Nasz kolega redakcyjny, Romuald Wiśniewski, mógłby być rzeczywiście dumny, gdyby nie fakt, że trudno go już uważać za „młode pióro". W dziennikarskim zawodzie pracuje bodaj dłużej niż red. L. Gnot. Raczej można więc mówić o drugiej dziennikarskiej młodości. Kierownictwo „Kameny" dodałoby w tym miejscu nieśmiało, że w klimacie naszego dwutygodnika złapał kol. R. Wiśniewski ów drugi oddech, stając się dziennikarzem „całą gębą".

Red. L. Gnot pisze dalej:

Ale nie wszystko, co w „Kamenie" jest egzemplifikacją owego procesu (procesu odnowy — przyp. MAJ) jest do przyjęcia. Niektóre publikacje, a w pewnych wypadkach sformułowania budzą gorący sprzeciw. Nie dlatego, że są ostre i mocne, ale po prostu niesłuszne, sprowadzające rzecz całą na manowce. Tak się rzecz również ma z zamieszczoną w ramach cyklu DYSKUTUJEMY ODWAŻNIE I ROZWAŻNIE (!) wypowiedzią Romualda Wiśniewskiego „Komu trzęsą się portki".

W tym miejscu chciałbym zapytać red. L. Gnota: co ma na myśli, pisząc, że *niektóre publikacje, a w pewnych wypadkach sformułowania budzą gorący sprzeciw?* Jego cała dalsza polemika ogranicza się jedynie do materiału kol. R. Wiśniewskiego, a przecież z przytoczonych wyżej słów wynika, że chodzi mu nie tylko o tę publikację. Jednocześnie red. L. Gnot autorytatywnie używa określenia *budzą gorący sprzeciw.* Czyj sprzeciw? Może rozczepiam włos na czworo, ale — moim zdaniem — przed przymiotnikiem „gorący" zabrakło zaimka „mój". Chociaż przepraszam: zapomniałem, że red. L. Gnot publikuje swoje uwagi pod tytułem „Moje trzy grosze".

Kol. Romuald Wiśniewski — chcę tu postawić sprawę jasno — opublikował swój materiał w ramach naszej, „kamenowej" dyskusji przedzjazdowej — „Odważnie i rozważnie". Wypowiedział się jak może się obecnie wypowiedzieć każdy obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W ramach tej dyskusji na takich samych prawach potraktowalibyśmy i wystąpienie red. L. Gnota, aczkolwiek nie znaczyłoby to, że kierownictwo redakcji „Kameny" mogłoby się zgodzić z tym wszystkim, co napisał.

Red. L. Gnot kwestionuje głównie ten fragment artykułu kol. R. Wiśniewskiego:

„Nabiera w Polsce impetu dyskusja przedzjazdowa. Jakie biada — piszę te słowa 4 października — jest ona na Lubelszczyźnie! Podejrzewam, że część osób tylko dlatego wypowiedziała się, lub inspirowała innych do wypowiedzi, że nieprzyłączenie się do dyskusji mogłoby im być poczytane za ignorancję polityczną. Trzeba odfajkować tę dyskusję! Trzeba odbębnić ją na specjalnym zebraniu, czy też w specjalnej rubryce, albo w specjalnym numerze gazetki ściennej...

Red. L. Gnot dodaje od siebie: *Taka cenzurka wystawiona dyskusji przedzjazdowej na Lubelszczyźnie, a więc równocześnie dojrzałości politycznej społeczeństwa lubelskiego jest z gruntu fałszywa, krzywdząca i szkodliwa... Gdyby np.* (Wiśniewski) *posłuchał tego, co mówiły spracowane robotnice Lubgalu, konstruktorzy WSK Świdnik, profesor Uhorczak (...) bądź też kierownicy przemysłu terenowego podczas redakcyjnej dyskusji na pewno nie formułowałby tak lekceważących niesłusznych opinii.*

Tu osobiście zgadzam się z red. L. Gnotem. Dyskusja przedzjazdowa na Lubelszczyźnie, a mam na myśli przede wszystkim zebrania partyjne w wielkich zakładach pracy i we wsiach, była szczera, znajdowały w niej odbicie zarówno sprawy wagi ogólnokrajowej, jak i problemy z własnego podwórka. Ludzie po gospodarsku zastanawiali się nad tym, co zrobić, aby i żyło i pracowało się lepiej. Ale jednocześnie z całą odpowiedzialnością stwierdzam, że ta dyskusja nie znalazła na łamach lubelskich dzienników, w tym i „Kuriera Lubelskiego", takiego oddźwięku, na jaki by zasługiwała. Kol. R. Wiśniewski zapewne nie słuchał tego, co *mówiły spracowane robotnice Lubgalu czy konstruktorzy WSK Świdnik.* Red. L. Gnot słuchał (?) Nasuwa się wobec tego pytanie: dlaczego za pośrednictwem pisma, którym kieruje, nie poinformował o tym szczegółowo czytelników „Kuriera", wśród nich i kol. R. Wiśniewskiego?

W lubelskiej prasie nie spotkałem też (piszę te słowa — dla jasności — 7 listopada) żadnego rzeczowego sprawozdania z którejkolwiek powiatowej konferencji partyjnej. „Kamena" jest dwutygodnikiem, ma długi harmonogram druku, ale w bieżącym numerze nie kto inny, jak właśnie kol. R. Wiśniewski na całej stronie bardzo szczegółowo omawia przebieg powiatowej konferencji partyjnej w Opolu Lubelskim. Więc być może, że dzisiaj nie sformułowałby takiej opinii, jak w dniu 4 października.

Zbliżam się do końca moich rozważań. I tu otwarcie chcę powiedzieć, że trochę zabolało mnie pytanie red. L. Gnota:

Jaki cel mają tego rodzaju uogólnienia przedstawiające Lubelszczyznę jako zaścianek wyjątkowego konserwatyzmu i zacofania wobec ozdrowieńczych prądów odnowy dominujących w całym kraju? Komu służą?

Właśnie pytanie: „komu służą"? przypomina mi ten okres naszej powojennej historii, do którego dzisiaj wracać by nie należało.

Odpowiem też po staremu: komu nie służą. Nie służą imperialistom amerykańskim. Nie służą bandzie Czang Kai-szeka na Tajwanie.

Natomiast wiem dobrze, komu służy szczera dyskusja, wymiana poglądów. Socjalizmowi. Polsce. Nam wszystkim. I jeśli w dyskusji znajdą się sformułowania, które — cytując red. L. Gnota — *budzą gorący sprzeciw* dobrze, że się je zwalcza. Ale jak? Jednocześnie bowiem red. L. Gnot mógłby zauważyć, że w tej samej dyskusyjnej wypowiedzi kol. R. Wiśniewskiego znalazły się myśli, pod którymi i redaktor naczelny „Kuriera Lubelskiego" zapewne by się podpisał.

Władysław Machejek w artykule pt. „Dobra partia — dobry urząd („Życie Literackie" z 7 listopada) stwierdził:

Do niedawna politykę i sprawowanie władzy łącznie ze zwulgaryzowanym pojmowaniem kierowniczej roli przyjmowało się jako dawno przetasowaną talię kart, gdzie w zasadzie as występował przy asie, a nie zdarzało się, żeby siódemka lub ósemka były kartami atakującymi. Dziś trefle mieszają się z karami, „dupki dzwonce" z winem lub żołędziami — nie beztrosko, nie beztrosko; a jednak nowy czas się formuje.

Właśnie!

Za Bugiem

„UKRAJINŚKE Słowjanoznawstwo" to tytuł nowego wydawnictwa seryjnego, ukazującego się od roku 1970 we Lwowie pod redakcją prof. D. Pochylewicza, historyka ukraińskiego, który w roku 1970 otrzymał tytuł doktora honoris causa UMCS. Ukazały się dotychczas trzy zbiorki, przeciętnie po ok. 14 arkuszy drukarskich każdy.

We wstępie do zeszytu pierwszego redakcja zaznacza, że „Ukraina z uwagi na warunki geograficzne oraz sytuację historyczną pozostawała zawsze w ścisłych stosunkach ze wszystkimi grupami Słowian południowych, zachodnich i wschodnich". Ukraińskie Słowianoznawstwo ma już swoje długie tradycje, omawiane czasopismo pragnie je kontynuować. W pierwszym artykule ogólniejszej natury zwrócono uwagę na aktualne zagadnienia słowianoznawstwa radzieckiego.

Najwięcej artykułów tu umieszczonych odnosi się do niedawnej historii Polski. F. Stebilj ocenia stosunek polskiej myśli społeczno-politycznej z przełomu XVIII i XIX wieku do ukraińskich powstań narodowych o podłożu społecznym w owym okresie. W. Borys omawia program „Stowarzyszenia Ludu Polskiego" w latach 30-ych XIX wieku. I. Bielakiewicz zajmuje się wystąpieniami antywojennymi w I Dywizji Strzelców Polskich na froncie południowo-zachodnim latem 1917 roku. Ł. Lubymski pisze natomiast o początkach ludowego lotnictwa polskiego w roku 1944. W dziale krytyki umieszczono recenzje z prac H. Batowskiego i S. Tworka, a więc prac historycznych aktualnie wydanych przez historyków polskich. Wydrukowano tu też informacje o pracach historyków z Uniwersytetu Poznańskiego i Wrocławskiego. Inne artykuły odnoszą się m. in. do spraw związanych z historią Bułgarii, Czechosłowacji i Jugosławii.

Numer drugi owego zbiorku zawiera też stosunkowo najwięcej rozpraw odnoszących się do spraw polskich. Artykuły związane są tematycznie z działalnością Lenina, a więc L. Teodorowicz rozpatruje zagadnienie „Lenin i problem niepodległości Polski w okresie przed I wojną światową", J. Sobczak (z Warszawy) pisze o współpracy socjaldemokratów polskich z Leninem na łamach gazety „Socjał- Diemokrat" w latach 1908—1909, J. Bielakiewicz przedstawia historię walki społeczeństwa polskiego Galicji Zachodniej w obronie Lenina w sierpniu 1914 roku. I. Mirosznyczenko daje analizę roli leninowskich idei internacjonalizmu proletariackiego w pracy wychowawczej żołnierzy I Armii Wojska Polskiego w okresie od maja 1943 do sierpnia 1944 roku. Artykuły te znacznie wzbogacają leninizm polskie.

Ponadto L. Wołkowicz omawia odrodzenie się ruchu socjalistycznego w Królestwie Polskim po rozgromieniu partii „Proletariat". Numer informuje między innymi o pracach Instytutu Stosunków Polsko-Radzieckich PAN oraz o wspólnej konferencji historyków polskich i radzieckich, która odbyła się w stolicy Białorusi, Mińsku, w czasie 5—13 VII 1969 roku.

W numerze trzecim tego wydawnictwa omawiane są także zagadnienia związane z Polską. O pierwszym tłumaczu poezji T. Szewczenki na język polski, A. Gorzałczyńskiem, ukazała się tu rozprawa T. Paszowskiego. M. Inglot z Wrocławia omawia powieść Polaka Jana Czyńskiego pt. „Le Kozak, roman historique" oraz pewną pieśń kozacką napisaną po francusku w XIX wieku. O. Hrybowska pisze o zainteresowaniach twórczością M. Gorkiego w Polsce. I. Łoczyński recenzuje książkę J. Bułachowskiej o satyrze polskiej z lat 20-30-ych naszego stulecia, która po ukraińsku ukazała się w Kijowie w roku 1968 w wydawnictwa „Naukowa Dumka". J. Siliński natomiast informuje o działalności oddziału literatur zachodnio-słowiańskich Instytutu Słowianoznawstwa PAN. Numer zawiera też zagadnienia odnoszące się do innych literatur słowiańskich: czeskiej, słowackiej, bułgarskiej itp.

W omawianym wydawnictwie problematyka polska jest więc częsta i trwała. W czasopiśmie biorą też udział naukowcy polscy jako autorzy rozpraw, czy informacji. Jest to również przejaw coraz ściślejszej współpracy słowianoznawstwa polskiego i ukraińskiego w ostatnich latach.

M. L.

W 100 rocznicę urodzin Andrzeja Struga

„Miarą wszystkiego jest człowiek"

Roman Rosiak

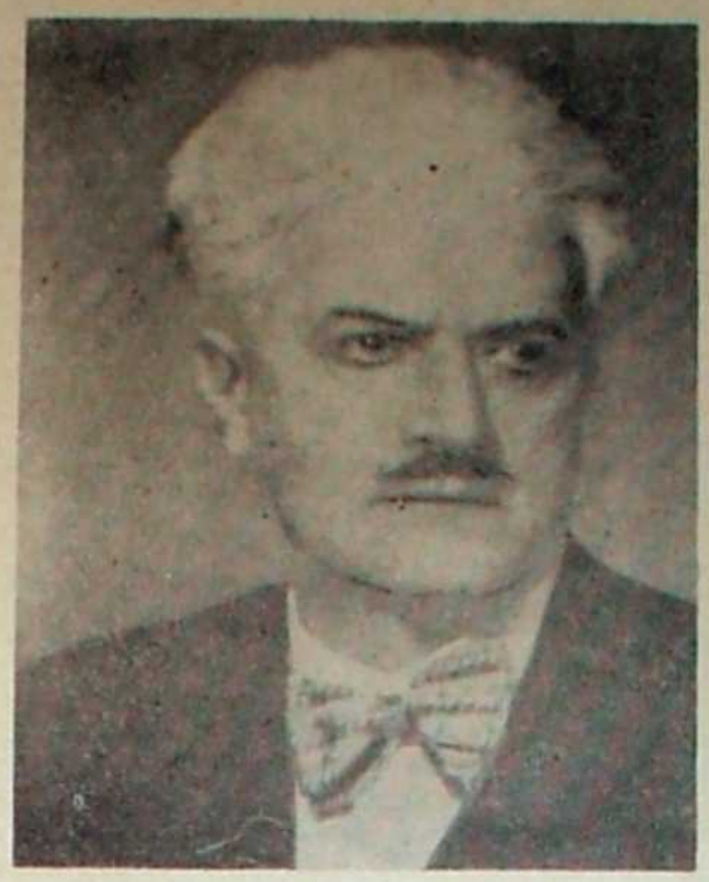

W DNIU 28 listopada mija sto lat od daty narodzin jednego z najwybitniejszych pisarzy polskich, Andrzeja Struga, którego kolebką był Lublin, miasto tak często z ogromnym sentymentem przedstawiane przez autora „Ludzi podziemnych" na kartach jego dzieł. 9 grudnia miną 34 lata od jego śmierci. Te dwie daty są chyba wystarczającym powodem do podjęcie próby — przynajmniej w zasadniczych zarysach — udzielenia odpowiedzi na pytanie: co z jego dorobku pozostało do dzisiaj? Można, a nawet trzeba, zastanowić się też nad tym, kim właściwie był Strug, jak ocenić jego działalność nie tylko literacką, ale i społeczno-polityczną?

O odpowiedź nie jest tak łatwo, jak by się mogło pozornie wydawać, pisarz był bowiem wielką indywidualnością, narażaną ustawicznie tak za życia, jak i po śmierci nie tylko na uwielbienie i hołdy, ale i bardzo ostre ataki. Co więcej, próbowały go sobie przypisać całkowicie przeciwstawne ugrupowania, niejednokrotnie najzupełniej opacznie tłumacząc poglądy Struga. Bo też trzeba przyznać, że był to „duch — wieczny rewolucjonista", konspirator, więzień X Pawilonu i zesłaniec carski, „Towarzysz August" z lat rewolucji 1905—1907, działacz PPS, legionista odznaczony Krzyżem Walecznych i Virtuti Militari, wiceminister propagandy Rządu Lubelskiego, przywódca masonerii polskiej, senator RP, prezes ZLP, wybitny działacz Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Międzynarodowej Organizacji Pomocy Więźniom Politycznym... I jak tu pogodzić wiernego żołnierza Piłsudskiego z płomiennym antyfaszystą, bojownikiem walki o socjalizm?

W tym miejscu aż się prosi o przypomnienie dwóch faktów: wizyty Struga u lekarza na krótko przed śmiercią i okoliczności towarzyszących jego pogrzebowi.

Kiedy w połowie 1937 roku pisarz zgłosił się do jednego z lekarzy warszawskich, ten, zbadawszy go, zalecił Strugowi najpierw solidny odpoczynek i oderwanie się od wszelkiej działalności społeczno-politycznej, następnie zaś wydał zaskakującą diagnozę: „Pan właściwie jest chory na Polskę". Oczywiście, o odpoczynku nie mogło być mowy, autor „Odznaki za wierną służbę" musiał być czynny do końca, który w tej sytuacji musiał nadejść szybko.

I rzecz znów zastanawiająca: pogrzeb, tak zupełnie niepodobny do wszystkich innych, zdawał się w pełni potwierdzać opinię lekarza. W dniu 11 grudnia 1937 r. za lawetą armatnią z trumną pisarza na Powązki ruszyła niemal cała Warszawa, jak również niezliczone delegacje i poczty sztandarowe z całego kraju. Różne to były sztandary: biało-czerwone, czerwone, zielone, wojskowe, związkowe. Obok przedstawicieli sanacyjnych władz, generalicji i wojska, szedł proletariat Woli i Mokotowa, obok granatowej policji Żydzi, Białorusini, Ukraińcy, przedstawiciele różnych organizacji ateistycznych. I rzecz chyba najbardziej wymowna: pisarza żegnała nie tylko salwa honorowa, ale także dźwięki „Czerwonego Sztandaru", zaś tuż po nim „Pierwszej Brygady". W kilka dni później hołd Strugowi złożył Władysław Broniewski, pisząc m. in.

To On nam przekazał pogardę
dla niepełnego zwycięstwa.
On nas słowem szlachetnym
i twardym
nauczył męstwa.

W ślad za nim popłynęła cała lawina wierszy, m. in. K. J. Weintrauba, A. Słonimskiego, L. Pasternaka, J. Pytlakowskiego, J. Brzostowskiej, dziesiątki wspomnień i artykułów poświęconych temu pisarzowi „choremu na Polskę".

Aż dziwne się wydaje, że w Polsce Ludowej, o którą tak żarliwie walczył, początkowo o nim prawie zapomniano, ograniczając się jedynie do wydania w roku 1948 „Ludzi podziemnych", by dopiero później, począwszy od roku, 1958, rozpocząć wznawianie jego dzieł, które krytycy niejednokrotnie oceniali w sposób budzący poważne wątpliwości. No bo jak zgodzić się ze zdaniem Ryszarda Matuszewskiego, który uważa Struga za pisarza *„nie interesującego się prawie wcale konkretnymi problemami życia społecznego ...obciążonego wieloma zasadniczymi błędami ideologicznymi* itp.?

Czas, jak zwykle, zrobił swoje i dzisiaj trudno byłoby znaleźć czytelników, którzy, sugerując się podobnymi opiniami, braliby dzieła Struga do rąk z obawą. A zatem — Strug redivivus! Strug, ale jaki? Wyręczmy się chwilowo zdaniem Haliny Górskiej, wypowiedzianym jeszcze w roku 1937, a przecież jakże aktualnym:

Strug walczył do końca. Był wiecznym rewolucjonistą. Jego rewolucyjność nie skończyła się ze zdobyciem niepodległości, tak jak nie skończyłaby się zapewne po zwycięstwie rewolucji.

Był jednym z tych serc wolnych i buntowniczych, które rozumieją, że tam, gdzie zaczyna się zadowolenie z osiągnięcia, ślepa wiara w dogmaty i wodzów, poniewierka człowieka, lekceważenie i gnębienie małych grup w imię wyższych jakoby celów dyscypliny, tam zaczyna się reakcja i upadek.

Był jednym z tych nielicznych ludzi bezkompromisowych i nieugiętych, których nie powstrzymują nie tylko więzy kariery, wygody czy powodzenia, ale także więzy uczucia i — najsilniej bodaj ze wszystkich — więzy automatyzmu, myśli i czynu.

Był jednym z tych nieustraszonych, którzy nie lękają się samotności, nawet — wśród swoich.

Podpisując się pod powyższą opinią, spróbujmy zatem wymienić to wszystko, co można dziś bez wątpienia zaliczyć do trwałych wartości dorobku pisarza. A więc przede wszystkim trzeba skorygować diagnozę lekarza i stwierdzić, że Strug był nie tylko „chory na Polskę", ale także na humanizm. Dla niego bowiem najwyższym dobrem i „miarą wszystkiego jest człowiek", który musi stanowić główny obiekt zainteresowań pisarza, jemu także trzeba wiernie służyć, o jego szczęście i szczęście przyszłych pokoleń walczyć.

Oczywiście, w pełni realizując nakreślone postulaty, Strug widzi — i to jest jego ogromną zdobyczą — człowieka takim, jakim on jest w rzeczywistości, a więc naturę skomplikowaną, mającą pełne prawo do najbardziej indywidualnego przeżywania wszystkiego i — zgodnie ze swym charakterem — podejmowania decyzji albo po głębokim namyśle i wahaniach, albo żywiołowo, bez namysłu. Dlatego właśnie bohaterowie Struga, ci „ludzie podziemni", nie reagują na wieść o rewolucji jednakowo, są bowiem żywymi, a nie papierkowymi bojownikami. Różnią się, bo muszą, wiekiem, pochodzeniem, inteligencją, charakterem, łączy ich jednakże wspólna idea: *A nasze przykazanie — być albo nie być, a Jej* (tj. rewolucji — R. R.) *wiernie służyć.*

Dlatego też Strug więcej miejsca poświęca wewnętrznej walce swych bohaterów, której już tylko namacalnym efektem jest wybranie miejsca po jednej lub drugiej stronie barykady. Umie też docenić rolę inteligencji (a ilu to pseudomarksistów uważało, że rewolucja — to wyłącznie dzieło proletariatu) i trudno mu odmówić racji, gdy pisze o walce dla idei:

Myśliciele jej drogi wytykają, bohaterowie oddają za nią życie, tłumy ludzkie są jej ramieniem tęgim i młotem kującym...

Niezwykle jest wprost to nieustanne dążenie pisarza do ukazywania prawdy i tylko prawdy o człowieku. Przeorał Strug poważny szmat dziejów Polski: od 1863 roku, poprzez narodziny socjalizmu, rewolucję 1905 roku, I wojnę światową, aż do przedednia 1939 roku i zawsze był wierny ideom, którym przysiągł dozgonną służbę. Wyliczanie jego zasług dla torowania w Polsce drogi postępowi, dla literatury i krytyki, dla utrwalenia historii walki narodowowyzwoleńczej ze szczególnym uwzględnieniem rewolucji — przerasta możliwość krótkiego artykułu, trudno jednakże nie wspomnieć przynajmniej o dwu ściśle wiążących się ze sobą zagadnieniach: wojnie i faszyzmie oraz stosunku pisarza do nich.

W „Kluczu otchłani" (1929) i przede wszystkim w „Żółtym krzyżu" (1932—1933), ukazując straszliwe spustoszenie materialne i moralne (na to kładł pisarz wielki nacisk), jakie powoduje wojna głośno wołał o wymazanie jej raz na zawsze ze wszystkich słowników świata. Jedną tylko wojnę uważał za świętą — w obronie ojczyzny. W „Pieniądzu" (1914), „Fortunie kasjera Śpiewankiewicza" (1928) i „Miliardach" (1933) z pasją wystąpił przeciwko kapitalizmowi i faszyzmowi, demaskując ich prawdziwe oblicza. W 1936 tak pisał:

Zrozumienie rzeczywistej roli faszyzmu przez wszystkich... jest niezbędnym warunkiem skuteczności wszelkiej walki o prawa człowieka i obywatela. Konieczna jest walka ze zdziczeniem moralnym, jakie szerzy faszyzm. ...Dziś w państwach o ustroju faszystowskim lub zbliżonym do faszystowskiego rządy przestały być instancją prawa w jakimkolwiek sensie — są one stroną bezpośrednio walczącą, posługującą się bezwzględną przemocą.

Czy można się dziwić, że człowiek, który całe życie służył prawdzie walcząc o Polskę Ludową, odrzucił godność członka Polskiej Akademii Literatury, przyjmując natomiast honorowe obywatelstwo robotniczego Sosnowca i nagrody literackie Zagłębia Dąbrowskiego oraz Łodzi? A swoje ideologiczne credo zawarł w jednym tylko zdaniu:

Jako człowiek wierzę, że nowy ustrój, który zapełni pustkę, będzie jedną z postaci socjalizmu.

Rzeczywistość bardzo szybko potwierdziła słuszność tych słów wielkiego patrioty, syna Ziemi Lubelskiej.

Wiszą dymy nad Chełmem

Ireneusz J. Kamiński

„ILU jest? — pytam półgłosem komisarza Grosmana, spotkanego w hallu Powiatowego Domu Kultury w Chełmie.

— Czterech.

— Nikt nie przyjechał?

— Nie. Czterech jest.

Wybiła jednak godzina otwarcia walnego zjazdu Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej, pora zejść do sali widowiskowej domostwa, stojącego na rozdrożu między starym a nowym miastem, na pograniczu między dobrem i złem, które i tutaj, w czyste, przytulne, ciepłe, pachnące kawą pomieszczenia zachodzi, zmuszając kierownictwo PDK do wprowadzenia kart wstępu do kawiarni. Aby niechlujnie ubrani, pijani i długowłosi spokoju nie zakłócali — jak wyjaśnił kierownik przybytku.

Urokiem zieleni egzotycznej odurzony, schodzę zatem nisko, tam, gdzie za chwilę bilansować będą dwuletni dorobek członkowie stowarzyszenia, których na liście ponad 200. Przy drzwiach do sali — stoliczek, a na nim bieleją kartki z rejestrem zaproszonych gości, wśród których i przedstawicieli władz wojewódzkich nie zabrakło, podobnie jak delegatów bratnich towarzystw regionalnych Lubelszczyzny. Rozglądam się zatem ciekawie, szukam przedstawicieli i delegatów, ale na próżno.

W amfiteatralnej sali ze sto osób siedzi, a niektórzy panowie w smokingach bodaj; to wokaliści z chóru „Hejnał", który imprezę ma uświetnić pieśnią wielogłosową.

Trzeba wybrać przewodniczącego obrad, więc pod publiczne głosowanie poddaje się kandydaturę poety.

— Kto się wstrzymał nie widzę kto jest przeciw nie widzę.

Nowo wybrany przewodniczący proponuje skład komisji wnioskowej.

— Kto jest przeciw nie widzę — dobiega ściszony głos z tylnego rzędu. Prorok chyba, bo rzeczywiście, sprzeciwów nie ma.

Na wstępie sprawozdania z dwuletniej pracy stwierdza się wyraźnie, że *Działalność Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej ściśle wiąże się z oświatą i kulturą. Jesteśmy społeczną organizacją, która postawiła sobie piękne zadanie kształtowania patriotyzmu i przywiązania do rodzinnej ziemi, utrwalania postępowych tradycji naszego regionu oraz rozwijania socjalistycznej kultury.*

Te cele realizowano w codziennej działalności sekcji: plastycznej, fotograficznej, filmowej „Miś", muzycznej, literackiej, teatralnej, historycznej, folklorystycznej. Niektóre z nich dorobiły się sporych sukcesów.

— Dlaczego tyle pieniędzy przeznacza się na potrzeby sekcji literackiej, a tak mało fotograficznej? — zapytał pierwszy dyskutant.

— W Okopach potrzebny jest telewizor — zauważył z trybuny inny członek stowarzyszenia.

Korzystając z chwili przerwy, pytam znanego działacza kulturalnego, czy tych wszystkich sekcji nie mógłby przygarnąć Powiatowy Dom Kultury.

— Wdzi pan, dotacje dla Stowarzyszenia nie są limitowane, w przeciwieństwie do PDK. Poza tym członkowie Stowarzyszenia są naszym aktywem społecznym.

Kolejny dyskutant proponuje obchody powstania miasta co 10 lat, protestuje przeciwko nazwie „Lubelskie Zakłady Przemysłu Cementowego", jako że mieszczą się one w w Chełmie i są wizytówką grodu, przypomina, że w chełmskiej wsi Maziarnia urodził się Stanisław Brzozowski, co trzeba upamiętnić obeliskiem lub płytą choćby.

— Który to Brzozowski? — zaintrygował się chórzysta z tylnego rzędu, zwracając się do sąsiada.

— A bo ja wiem — odparł napastowany. — W Maziarni jest szkoła czteroklasowa.

...Czterech jest... Dwa dni temu: melduje się w chełmskim PDK. Trochę ludzi w kawiarni, kilka osób w hallu, za oknem nada pierwszy śnieg. Czterech plastyków lubelskich oddaje płaszcze do szatni. Do uroczystego otwarcia pierwszego w dziejach miasta pleneru architektoniczno-rzeźbiarskiego pozostało kilkanaście minut, więc kierownik placówki prosi na piętro, gdzie w nerwowej kolorystycznie sali czynna jest wystawa projektu przestrzennego zagospodarowania przyszłego śródmieścia miasta. Za dwadzieścia lat Chełm liczyć będzie 90 tysięcy mieszkańców. Najpóźniej za dwa lata ruszy fabryka obuwia, która zatrudni ok. 4 tys. osób, głównie kobiety.

Za kilkadziesiąt tysięcy złotych nagrody projektanci z Torunia opracowali wizję śródmieścia zapierającą dech w piersiach: na 110 ha w południowej części Chełma proponują hotel, halę sportowo-widowiskową, budynki Prezydium MRN, sądu, przychodni lekarskiej, pawilony handlowe i rzemieślnicze i dwa teatry.

— ...na naszym zjeździe powinno być dwa razy tyle ludzi. A gdzie młodzież? Na przedstawieniach teatru doliczyć się można kilkudziesięciu widzów, a jak przyjedzie zespół beatowy, to mury trzeszczą. Osiągnięcia mamy piękne, ale młodzież nie garnie się do Stowarzyszenia — sugestywny głos kolejnego dyskutanta mąci wspomnienia...

...Całe śródmieście mieści się w trzech funkcjonalnie powiązanych sekcjach, ożywionych zielenią, z wydzielonym układem komunikacyjnym.

„Tu, o tu mi kaktus wyrośnie!" — żarliwie obiecuje pewien obywatel, który pojawił się nagle w sali nerwowej kolorystycznie, witając się kordialnie z kierownikiem. Zdaje się, że nie ufa wizjom. Najmłodszy nie jest, doświadczenie ma.

Po godzinie szóstej wiceprzewodniczący Prezydium MRN wita gości przybyłych na otwarcie pleneru. Czynności protokolarne trwają krótko, zgromadzenie liczy 20—23 osób. Zaproszono m. in. dyrektorów, prezesów i przewodniczących rad zakładowych z następujących zakładów pracy: „LZPC, Zakładów Obuwia, CheZaMet., Zakładów Przemysłu Owocowo-Warzywniczego, ChPB, Chełmskiego Przedsiębiorstwa Usługowo-Produkcyjnego Przemysłu Terenowego, MHD, MPGK, MPRB, PKS, WSS, PZGS, PKO, ChSM" — oraz 14 plastyków amatorów z Chełmskiego Klubu Plastycznego i 29 przedstawicieli władz wojewódzkich, powiatowych, dziennikarzy prasy lubelskiej i warszawskiej.

„Zdziwienie pańskie napawa mnie troską, albowiem oznacza, że miasta naszego nie odwiedzasz pan zbyt często, obyczajów w nim panujących nie znasz, a nie znając wiedzieć nie możesz o zasadzie nieobecności władz i technokracji na wszelkich imprezach plastycznych" — chełmski znajomy szepce do ucha. Stylista...

— W swojej działalności Stowarzyszenie odbiegło od idei regionalizmu — zagrzmiał pierwszy z dyskutantów, ponownie głos zabierając. — Zajmuje się rozszerzaniem kultury ogólnej. Trzeba powołać archiwum regionalne, sekcja folklorystyczna winna zinwentaryzować folklor, powołać należy koła terenowe, zacząć w końcu opiekować się zabytkami, odrębność regionu wydobywać. A współpraca z muzeum? Czy muzeum ma zbiór znaczków rajdowych PTTK, plakietek i proporczyków? Nie ma.

Tak, to rzeczywiście problem pierwszorzędnej wagi. Brak proporczyków i plakietek w muzeum chełmskim, mającym 16 tysięcy eksponatów, musi rzucać się w oczy każdemu, kto ma jakie takie pojęcia o kultywacji historii. Historii, rzecz jasna, regionalnej. Bo celem Stowarzyszenia jest przecież m. in. gromadzenie pamiątek historycznych, reliktów przeszłości a więc i folkloru, oraz realizowanie osobistych ambicji i zainteresowań członków, którzy z reguły skłaniają się do sztuki — literatury, plastyki, fotografii — i nauki.

— Trzeba unaukowić działalność Stowarzyszenia — kategorycznie stwierdził młody nauczyciel, poeta, działacz.

— Nasze Stowarzyszenie ma profil artystyczny, bo istnieje takie zapotrzebowanie i są u nas zdolni ludzie — uzupełnił inny poeta, działacz społeczny i etatowy. Co prawda, to prawda. Oto fraszki z jednodniówki „Ziemia Chełmska", która ukazała się przed zjazdem:

Nielada to sztuka
chodzić po chełmskich brukach.

Aby pieścić jej kolanka
robił w sklepie manka.

W artykule wstępnym do tego wydawnictwa przeczytałem:

Wtopiły się już w chełmski krajobraz olbrzymie kominy cementowni. Siwe pióropusze dymu wiecznie wiszą nad wschodnią dzielnicą miasta; wiatr dym rozciąga w długie, jak strumień, warkocze lub ruje i postrzępione płachty miesza z ciężkimi bryłami chmur. To pracuje cementownia... Szare wory cementu docierają do najdalszych zakątków świata.

Wiszą dymy nad Chełmem, zżerają Rejowiec Fabryczny, miasto socjalistyczne, jak Nowa Huta, lecz nie jest to w stanie przesłonić członkom Stowarzyszenia zbliżaja-

Dokończenie na str. 10

am... prawie stenogram... pra

Romuald Wiśniewski

Przyjechałem do Opola Lubelskiego dwa dni przed konferencją – i może niezupełnie potrzebnie. Edward Szady, sekretarz propagandy, którego znam z czasów, gdy pracował w Lublinie, nie chciał wiele mówić.

– Za krótko tu jestem, jeszcze na dobre nie wgryzłem się we wszystkie problemy. Pogadaj lepiej z Gucmą, pierwszym sekretarzem. Działa 20 lat w tym powiecie, był nauczycielem, inspektorem oświaty, przewodniczącym Prez. PRN, sekretarzem organizacyjnym, wie, co i gdzie piszczy. Ja najwyżej mogę ci dać do przeczytania te dokumenty dotyczące spraw miejscowych, które sam przejrzałem.

I SEKRETARZA, Czesława Gucmy, nie zastałem ani tego dnia, ani następnego, choć zachodziłem do KP PZPR po kilka razy. Szady bezradnie rozkładał ręce:

— Radziłem szczerze, najlepiej z nim. Ale, rzeczywiście teraz trudno znaleźć czas nawet dla prasy, choć na prasie zależy nam, bo chcemy, żeby pokazała szerzej nasze sprawy.

W sobotę wieczorem przechodziłem obok liceum ogólnokształcącego. W gmachu szkolnym świeciło się z okien, dolatywała muzyka. Wszedłem do wnętrza i zaraz wlazłem do dużej sali, zastawionej łóżkami. Na łóżkach siedziały dziewczęta i czytały.

— Tak, zgadł pan, to internat — powiedziała jedna. — Mieszkamy po dziesięć. Mniejszych sal nie ma, innego internatu — też nie.

Miałem już temat, jak na zamówienie.

Na górze, przy kanonadzie muzyki z taśm, tańczyło około 40 dziewcząt i chłopców. Dwie miłe panie siedziały pod ścianą: nauczycielki dyżurujące na wieczorku swoich klas.

Spytałem, po co ten dyżur? Czy młodzież, która ma za niespełna rok otrzymać świadectwa dojrzałości, nie jest w stanie sama pilnować u siebie porządku? Czy tej młodzieży, prawie dorosłej, nie należy dawać szans wykazania się odpowiedzialnością?

Potem przyszła jeszcze z mężem dyrektorka liceum. Też zobaczyć, jak bawią się młodzi.

— Sami, czy pod opieką wychowawcy, to temat do dyskusji, nie rozstrzygnięty jeszcze ani u nas, ani gdzie indziej. Wiem, bo długo byłem nauczycielem — powiedział mąż dyrektorki, jak się okazało — I sekretarz KP. — My mamy inne kłopoty. Co zrobimy w lecie z tymi, którzy nie zgłoszą, czy też nie dostaną się na studia? Zwłaszcza z dziewczętami? 400 kobiet czeka na pracę w Wydziale Zatrudnienia. Czytałem w „Kamenie" pana artykuł o konieczności zdecydowania się na masową migrację wolnych rąk do dużych ośrodków przemysłowych, gdzie tych rąk brakuje. Lecz my przecież nie możemy powiedzieć młodym ludziom po prostu — jedźcie na Śląsk lub na Wybrzeże. Tu mają rodziców, rodziny, mieszkania, lepsze czy gorsze, ale własne. Życie w domu rodzinnym kosztuje taniej, niż samodzielne. Są tacy, którzy będą musieli po maturze pomagać finansowo rodzicom. Jeśli chodzi o dziewczęta, wiadomo, rodzice niechętnie wypuszczają je spod swej opieki. Wśród poszukujących pracy kobiet są też i mężatki, chcące dopomóc budżetowi domowemu.

Sekretarz od razu zdradza mi swą receptę na rozwiązanie problemu zatrudnienia. Należy stworzyć w Opolu Lubelskim przedsiębiorstwo remontowo-budowlane. Wniosek nie nowy: od kilku lat bywał podnoszony na różnych zebraniach niższego szczebla i na naradach powiatowych. Może teraz, w nowej aurze politycznej, znajdzie zrozumienie i poparcie władz wojewódzkich? A przedsiębiorstwo takie jest konieczne dla przyśpieszenia budownictwa mieszkaniowego. Duża grupa mieszkańców powiatu jeździ do pracy w przedsiębiorstwach budowlanych w Puławach, Kraśniku, nawet w Lublinie, a tu nie ma komu wznosić nowych domów.

Kobietom zatrudnienie mógłby dać browar. O browar też starają się kilka lat i bez skutku. Piwo trudno tu dostać, w okolicznych powiatach też, popyt nieustannie rośnie. Mają na miejscu swój chmiel, mają jęczmień i mają dobrą, smaczną wodę, podobno podstawę do dobrego piwa. Gdy sekretarz swego czasu starał się o poparcie sprawy u pewnego ministra, ten rzekł, że piwo potrzebne jest w rejonach wysoko uprzemysłowionych. Chłopi mogą pić mleko i wodę; tym bardziej, jeśli jest taka smaczna.

Który minister tak powiedział? O nie, tego sekretarz nie zdradzi. Minister zawsze może się przydać; nie należy go zrażać do powiatu.

O potrzebie browaru słyszałem również nazajutrz rano, już na powiatowej, przedzjazdowej konferencji wyborczej, też z ust I sekretarza, w jego przemówieniu wstępnym. O ministerialnym rozdziale, komu piwo, komu wodę, nie było wspomniane. Przejrzałem potem tekst przemówienia. Liczyło 30 stron maszynopisu, po 24 wiersze każda. Strony 1—3 miały charakter oceny sytuacji ogólnopolitycznej w kraju, strony 21—30 — charakter wniosków ogólnopolitycznych na przyszłość i zapewne nie różniły się wiele od części ogólnych zagajeń na innych konferencjach przedzjazdowych. Środek przemówienia zawierał sól i pieprz spraw powiatu opolskiego. Wynotowałem co ważniejsze. Oto one:

* Zakłady „Eda" w Poniatowej mają zwiększyć produkcję silników elektrycznych, sprężarek licencyjnych i innych wyrobów, ale nie dysponują jeszcze szczegółowym programem na lata 1972—75. Konieczne jest przystosowanie narzędziowni oraz wydziałów: remontowego, głównego energetyka, technologicznego i konstrukcyjnego do nowych zadań. Niepokoją natomiast propozycje zabrania z Poniatowej produkcji sokowirówki, cieszącej się powodzeniem na rynku. Robotnicy uważają, że byłaby to decyzja niesłuszna. Konieczne jest zwiększenie tempa budownictwa mieszkaniowego spółdzielczego i państwowego oraz wydzielenie działek pod domki jednorodzinne i na ogródki pracownicze. Potrzebne są nowe placówki handlowe i usługowe oraz rozbudowa istniejącego szpitala miejskiego. Należy zmodernizować oczyszczalnię ścieków. Obok kotłowni centralnej istnieje 7 kotłowni lokalnych, zdaniem fachowców trzeba je zlikwidować i wybudować jedną dużą, uzyskałoby się odpowiednią ilość tańszego niż obecnie ciepła.

* Zakłady przemysłu spożywczego w Kluczkowicach mieszczą się w rozpadających się ze starości, zawilgoconych i zagrzybionych pomieszczeniach. W każdej chwili może zamknąć je inspekcja pracy. Jaki los czeka zatrudnionych tu ludzi? I kto wypełni na rynku lukę po ich produktach, których wartość roczna wynosi 30 mln zł, z czego połowa idzie na eksport? Konieczne (i na pewno opłacalne) jest odtwarzanie substancji produkcyjnej i magazynowej zakładu.

* Zakład mleczarski, wybudowany w roku 1956, nie jest w pełni wykorzystany z powodu niedostatecznej liczby punktów skupu mleka oraz braku magazynu na proszek mleczny i kazeinę.

* W gromadach Opole, Mazanów i Karczmiska należy intensywniej rozwijać hodowlę, zwłaszcza trzody chlewnej.

* Część rolników nie stosuje się do zaleceń wydawanych przez zespoły specjalistów rolnych i gospodarząc przestarzałymi metodami, uzyskuje gorsze wyniki.

* Opole ma 9 km sieci wodociągowej i 4 km kanalizacyjnej. Hydrofornia uruchomiona była z myślą o potrzebach jednego tylko budynku. Ścieki odprowadzane są bezpośrednio do płynącej przez miasto rzeczki. Wiadomo, co dalej: bez odpowiedniego ujęcia wody i bez oczyszczalni ścieków, nie można rozbudowywać sieci wodociągowej i kanalizacyjnej. Przydzielone miastu limity na budownictwo państwowe i spółdzielcze nie wystarczą na zaspokojenie minimalnych potrzeb.

* Pilna jest potrzeba budowy szkół podstawowych w Opolu, Poniatowej, Karczmiskach i Józefowie oraz budynku dla liceum ogólnokształcącego w Poniatowej. Szczególnie ważne jest (a niemożliwe do rozwiązania własnymi siłami) wzniesienie budynku dla Powiatowego Domu Kultury oraz Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej.

* Dobijając się o pomoc z góry, nie można zapominać o obowiązkach własnych. A tymczasem tegoroczna weryfikacja placówek kulturalnych wykazała brak troski o sprzęt i budynki klubów w Lesie Dębowym, Józefowie i Idalinie.

* Nie można tolerować ludzi nie wywiązujących się ze swych obowiązków. Kierownik zakładu mleczarskiego nie troszczył się o poprawę warunków socjalno-bytowych załogi. Zwolniono go. Już widać korzystne zmiany. Podobnie jak w zakładach przetwórstwa owocowo-warzywnego w Zagłobie: po zmianie nieudolnego kierownictwa poprawiły się wyniki produkcyjne.

I jeszcze w przemówieniu o osiągnięciach powiatu. „Eda" zobowiązała się w czynie zjazdowym wyprodukować dodatkowo na rynek krajowy i na eksport towary wartości 4 600 tys. zł. Przemysł spożywczy — 1 835 tys. zł. Nawożenie mineralne wykonano w 103,9%. Plony czterech podstawowych zbóż wynoszą 23,9 q/ha, obsada trzody chlewnej — 142 sztuki na 100 ha. I jeszcze coś o sukcesach w pracy wewnątrzpartyjnej, lecz krótko.

— Nie zebraliśmy się tu dla prawienia sobie komplementów, czy chwalenia się przed gośćmi z KW i KC — mówi mi w przerwie przewodniczący Prez. PRN, Włodzimierz Koprukowniak. — Przede wszystkim musimy załatwić to, co najtrudniejsze i najpilniejsze. Do tego zresztą zobowiązali nas towarzysze, wybierając delegatów na konferencję powiatową.

Dyskusję zaczyna Stanisław Zając, I sekretarz Komitetu Gromadzkiego w Józefowie nad Wisłą i wiceprezes tamtejszego GS. Najpierw ogólnie o sytuacji politycznej w kraju, województwie i powiecie, potem o wdzięczności rolników wobec władz powiatowych, wojewódzkich, centralnych. I nagle, po tym wstępie, przechodzi do konkretów:

* potrzebna im jest chłodnia — przechowalnia owoców na minimum tysiąc ton; obecnie owoce wozi się do chłodni położonych daleko, m.in na Śląsku; psują się w drodze i nie nadają potem do dłuższego przechowywania; powinny być przechowywane na miejscu produkcji i dostarczane do odległych odbiorców na krótko przed spożyciem;

* potrzebna jest deszczownia do nawadniania sadów w PGR i u sadowników indywidualnych, wodę mają w Wiśle;

* potrzebne drogi Józefów — Spławy i Józefów — Olsztyn — Kaliszany;

* należy rozbudować przetwórnię owocową w Józefowie i zwiększyć zatrudnienie;

* niegdyś w gromadzie pracował jeden lekarz więcej i czynne było laboratorium analityczne: trzeba przynajmniej powrócić do tego stanu.

Następny mówca, Zbigniew Szewczyk, lat 29, reprezentuje KG Wrzelowiec, jest głównym technologiem przetwórni w Kluczkowicach. Zakład ich powstał w roku 1955, w budynkach dawnego browaru wzniesionych przed ponad 100 laty z kamienia wapiennego dziś już zlasowanego. Pracują na maszynach wycofanych z innych zakładów. Znaczny procent tych maszyn powinien być jak najszybciej przekazany do Muzeum Techniki. Potrzeby remontowe i renowacyjne do roku 1975 oceniane są na 14 mln zł (z czego 5 mln na oczyszczalnię), co wobec wielkości produkcji jest wysoce celowe, zwłaszcza, że mają do tegoż roku podwoić produkcję na eksport. Załoga domaga się, by deputat węglowy wydawano jej w naturze, a nie w formie pieniężnej.

Następny: Stanisław Kłódka, rolnik, wiceprzewodniczący Prez. GRN w Skokowie. Narzeka na trudności z nabyciem materiałów budowlanych. Ale największe są nie przy wznoszeniu nowych budynków, lecz przy remoncie starych. Prawie wcale nie dostaje się cementu i materiałów na pokrycie dachów. Remonty są niezbędne, podobnie jak i remonty dróg. To nienormalne, że łatwiej wybudować coś nowego, niż przedłużyć trwałość istniejącego. Druga sprawa: istniejących gospodarstw formalnie dzielić nie wolno. W rzeczywistości ludzie dzielą, obdarowują dzieci, te żenią się z innymi tak wywianowanymi. W rezultacie na papierze są inne stosunki własnościowe, a faktycznie inne. W tych sprawach władza terenowa powinna mieć uprawnienia do legalizowania takich zmian, które zwiększają areał jednych gospodarstw, a zmniejszają innych — byle nie dochodziło przy tym do rozdrabniania się liczby gospodarstw. Po trzecie — należy zwiększyć nadzór nad działalnością kółek rolniczych.

— Czegóż on chce? — dziwi się siedzący obok mnie Feliks Wójciak, przewodniczący Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych. — Przecież kółka są samorządne i jeśli nie wykraczają poza ramy statutu, nikt nie może ich do niczego zmuszać.

Wstaje Jan Ziółek, robotnik z Poniatowej, delegat „Edy" na Zjazd. Mówi o swoim zakładzie, o problemach płacowych.

A oto główne elementy wypowiedzi Mariana Bigory, przewodniczącego Prez. MRN w Opolu:

* 150 rodzin oczekuje na mieszkanie z budownictwa państwowego, 10 rodzin mieszka w barakach, 15 rodzin trzeba natychmiast wykwaterować, bo tam, gdzie mieszkają — będzie budowane co innego;

* niektóre rodziny oczekują na mieszkanie od kilkunastu lat, trzeba przyśpieszyć budownictwo spółdzielcze;

* miasto wyburzyło 4 budynki mieszkalne, w których mieszkało 7 rodzin, pod pawilon usługowy WZSP, od tamtej pory upłynęły 3 lata. WZSP ma lokalizację i nie buduje, te rodziny mogłyby mieszkać tam do dziś;

* szpital w Opolu w ciągu roku, z braku miejsc, nie przyjął 270 chorych;

* internat przy liceum ogólnokształcącym zaspokaja potrzeby zaledwie w 30%.

Jeden z kolejnych mówców, Jan Markowski, mówi w imieniu rolników z całego opolskiego Powiśla:

* rejon składa się niemal wyłącznie z sadów, wobec tego potrzebny im jest nie agronom, a inżynier sadownik;

* opryskiwacze są drogie (24 tys. zł), niskiej jakości i szybko się zużywają;

* sadownikom potrzebne są traktory lżejsze od tych, którymi dysponują kółka rolnicze, lecz silniejsze od „Dzików"; czechosłowackie, odpowiednie do tych celów, są drogie;

* trawę w sadach powinno się wycinać co 2—3 tygodnie, konieczne są do tego specjalne kosiarki; czas na podjęcie ich produkcji.

Z wypowiedzi Norberta Zielińskiego, przewodniczącego Prez. GRN w Godowie:

* Opole bierze 10-złotowe opłaty od rolników sprzedających swe produkty na targowicy miejskiej, tymczasem nic się nie robi dla uporządkowania jej nawierzchni;

* we wsi Dąbrowa Godowska jest tylko kilka studni, a do wody 100 m; chcą budować wodociąg, mają pieniądze, brak im materiałów;

* w sklepach wiejskich rzadko kiedy pokazuje się smalec i słonina, a wędliny i konserwy mięsne tylko wyjątkowo; zlikwidowano GS w Godowie, funkcje jego przejęła GS Opole, jednak nie wywiązuje się tak dobrze;

* skoro Opole nie ma domu kultury, nie będzie się o taką placówkę dobijać wieś; lecz o należyte wyposażenie straży pożarnej mają chłopi prawo mieć pretensję.

Drugi mówca z Józefowa, Czesław Mączka, konserwator wiejskiej sieci wodociągowej:

— Odczuwa się w gromadzie brak miejsc do pracy dla 300 kobiet. Gospodarstwa są niewielkie, 60% do 2 hektarów, trzeba dać ludziom szanse dorobienia. Trzeba rozszerzyć asortyment produkcji przetwórni owoców na wyroby mięsno-warzywne, z surowców miejscowych, dzięki czemu wydłużyłoby się sezon. Brak POM-u w gromadzie zmusza do remontowania maszyn rolniczych w odległych placówkach, podraża koszta. Ostatnio zlikwidowano w gromadzie Zakład Gospodarki Komunalnej, zadania jego przejęło Powiatowe Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej, ale szereg osiągnięć Józefowa, m.in. cieplarnia, zmarnowało się. Woj. Zarząd Kin zlikwidował kino. Dlaczego? Czy i w kulturze liczą się wyłącznie wyniki finansowe?

Mówią inni: razem 17 głosów. Głowa może spuchnąć od słuchania potrzeb, postulatów, żądań. Ile z tego trafi na wyższe szczeble? A ile będzie z całego województwa? Ile z całej Polski? Sekretarz OK PJN, poseł Witold Jarosiński, i sekretarz KW PZPR Henryk Świderski, nie podsumowują dyskusji. Odpowiadają tylko na niektóre głosy. Między innymi na temat trudności mieszkaniowych. Władze centralne nie mogą obiecać nic ponad to, co przyrzekły dotychczas. O mieszkania wołają nie tylko w Opolu. Wszędzie.

Fot. P. Kobielski

Wybory delegatów na konferencję wojewódzką. Komisja — Matka proponuje 10 kandydatów. Sala odrzuca trzech. Wybory są tajne. Odpada 2 kandydatów Komisji-Matki i jeden zgłoszony z sali. Na 149 uprawnionych do głosowania głosy oddało 148. Aż 143 otrzymał zdobywca największej ilości, 104 — dziesiąty na liście.

Koniec konferencji. Sekretarz Szady pyta mnie, czy dokładnie notowałem.

— Ludzie wiedzieli, że jesteś z prasy, będą chcieli przeczytać. Ludzie boją się, żeby ich sprawy nie utonęły na lokalnym podwórku. W Poniatowej mówili swemu delegatowi: „Ziółek, pamiętaj, żebyś się pokazał w telewizji i powiedział całej Polsce co myśmy tu uchwalili".

Mówię sekretarzowi, że na moje odczucie za dużo było spraw lokalnych, za mało o charakterze ogólnopolskim.

— Jak to? — dziwi się — Były same ogólnopolskie. Opole Lubelskie to przecież kawałek Polski. Omawialiśmy problemy ogólnopolskie.

Opole Lubelskie. Powierzchnia powiatu – 701 km kw. Położony na prawym brzegu Wisły w woj. lubelskim. Ludności – 57,6 tys. Miast – 2 (Opole – 4,6 tys. mieszkańców, Poniatowa – 5,2 tys.), gromad – 13. Główne źródło utrzymania ludności – rolnictwo stojące na dość wysokim poziomie i sadownictwo, ponadto przemysł. Zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej – 10,7 tys. osób, z czego w przemyśle – 4674. Abonentów radiowych – 6725, telewizyjnych – 3053. Lekarzy (bez dentystów) – 48, Łóżek szpitalnych – 256. (Rocznik statystyczny woj. lubelskiego 1970).

Kamena str. 4

Jak Jurgo zabił „Krowę" Tanzhausa

Mirosław Derecki

Pierwszy z lewej — Władysław Jurgo. Zdjęcie zrobione w czasie okupacji przed domem przy ul. Wspólnej 16 w Lublinie.

21 lipca 1944 r. w lubelskim więzieniu na Zamku więzień Władysław Jurgo dokonał udanego zamachu na życie strażnika niemieckiego, oberscharführera Tanzhausa. Tanzhaus został zabity nożem chirurgicznym w chwili, gdy kompletował grupę więźniów skazanych na śmierć, do których należał również Jurgo. W ćwierć wieku później, 14 października 1971 r., Rada Państwa przyznała Jurdze pośmiertnie Srebrny Krzyż Orderu „Virtuti Militari". Został on wręczony ojcu odznaczonego, Władysławowi Jurdze, w dniu III zjazdu klubu byłych więźniów Zamku Lubelskiego.

Władysław Jurgo wszedł do historii lubelskiej martyrologii, ale wciąż jeszcze jego osoba, jak również szczegóły czynu, jakiego dokonał, są mało znane. Ogólnie wiadomo, że trafił na Zamek oskarżony o działalność w szeregach AK i że został skazany na śmierć. Dopiero po latach odszukano rodzinę Jurgi, świadków śmierci Tanzhausa oraz ludzi, którzy utrzymywali kontakty z Jurgą na długo przed jego aresztowaniem, w czasie gdy prowadził działalność konspiracyjną w Lublinie. Z tych relacji można odtworzyć sylwetkę „Sławka" jak i tok wypadków, które wydarzyły się na Zamku w piątek, 21 lipca 1944 r.

WŁADYSŁAW Marian Jurgo urodził się 9 listopada 1920 r. w Łasku pod Kaliszem, ale dzieciństwo i lata szkolne spędził w Tczewie, gdzie jego ojciec miał niewielką wytwórnię wód gazowych. Tczew leżał o miedzę z Prusami Wschodnimi, nic więc dziwnego, że tutejsza młodzież była wychowywana w atmosferze patriotyzmu, wyczulona na sprawy ekspansji niemieckiej na polskie ziemie; z przykładami owej ekspansji spotykała się niemal codziennie. Sławek, bo tak go nazywano w rodzinie, był najstarszy z rodzeństwa. W gimnazjum dał się poznać m.in. jako działacz harcerski. Był dobrze zapowiadającym się lekkoatletą, uprawiał biegi na 800 i 400 m., a jego sportowe sukcesy były coraz częściej odnotowywane przez prasę. Po zdaniu matury wybierał się na studia do Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego w Warszawie. Równoległą ze sportem pasją Jurgi była muzyka. Grał na wielu instrumentach, przy czym szczególnie upodobał sobie skrzypce. I na zdjęciach z lat szkolnych, i późniejszych — podczas pobytu w Lublinie, zawsze widać go z tym instrumentem w dłoni, w gronie kolegów, muzyków-amatorów. Być może muzyka dawała mu odprężenie po szarpiących nerwy dniach pracy w konspiracji...

W szkole działał w zespole regionalnym, w grupie tanecznej. W sierpniu 1939 r., po zdaniu matury wyjechał z tym zespołem na występy na Litwę i Łotwę. W rodzinnych papierach pozostał paszport Sławka i kilka jego fotografii w stroju krakowskim.

W dniu wybuchu wojny Władysław Jurgo zgłasza się ochotniczo do wojska. Nie wiadomo, w jakiej jednostce służył i w jakiej formacji, bo pod koniec wakacji stracił kontakt z rodziną, a w późniejszych miesiącach, gdy rodzina odnalazła się w jakiejś niewielkiej miejscowości pod Łodzią, niewiele wspominał o swoim udziale w kampanii wrześniowej. Wiadomo natomiast, że przez krótki okres przebywał w obozie dla jeńców wojennych w Bydgoszczy i że uciekł z transportu kolejowego, wyłamawszy wraz z kolegami deski z podłogi wagonu.

Na przełomie 1939 i 1940 r. Jurgo opuszcza rodzinę i przez „zieloną granicę" przechodzi na teren Generalnej Guberni. Wraz z kilkoma kolegami, wśród których znajduje się również Edward Cylkowski z Tczewa, trafia do Lublina. Osiedla się tu najprawdopodobniej dlatego, że tutaj Jurgowie posiadają krewnych. Na Sławinku mieszka kuzynka, p. Mirska, w podlubelskich Osmolicach żyje rodzina Truchlińskich. Początkowo Jurgo mieszkał u nich, potem u przygodnych znajomych, przez pewien czas miał swój własny kąt gdzieś na Starym Mieście, wreszcie zdobył wygodny pokój u Danuty Łuszczewskiej, w jej domku przy ul. Wspólnej 16. Pracował w magazynach zaopatrzenia armii Wschód, mieszczących się na końcu ulicy Nowy Świat, później otrzymał pracę na kolei — w ekspedycji pociągów towarowych.

Władysława Jurgę poznał inżynier Lucjan Foryś, wówczas pracujący jako kelner w bufecie, w poczekalni I klasy — na lubelskim dworcu, w czerwcu 1942 r. Bufet był przeznaczony tylko dla Niemców, ale na zapleczu była wydzielona niewielka klitka, do której zachodzili na piwo polscy pracownicy dworca. Któregoś dnia zajrzało tam również dwóch młodych ludzi w kolejarskich mundurach. Jeden z nich, to wysoki, potężnie zbudowany blondyn, drugi — nieco niższy, drobnej budowy, o miłej aparycji, sprawiający na pierwszy rzut oka wrażenie człowieka nerwowego albo takiego, którego rozsadza energia. Przedstawili się: „Eda i Sławek". Między młodym, przypadkowym kelnerem, a dwoma również przypadkowymi kolejarzami, szybko nawiązała się nić koleżeństwa. Tym łatwiej, że wszyscy trzej mieli zamiłowania muzyczne. Potężny, kłocowaty Eda i Lucjan Foryś grali na akordeonach, Sławek na skrzypcach.

Foryś, Cylkowski i Jurgo spotykali się najczęściej w niewielkim, murowanym budyneczku, stojącym po dziś dzień przy końcu drugiego peronu i stąd wyruszali na muzyczno-turystyczne eskapady, „na łono przyrody". Najczęściej wsiadali do pociągu jadącego w kierunku Kraśnika i dojeżdżali do Zemborzyc, gdzie rozbijali biwak w miejscu ulubionym niegdyś przez wszystkich lublinian, na łąkach, przy ruinach starego młyna. Często jeździli też nieco dalej, do stacji Krężnica Jara. W willi, stojącej pod lasem mieszkała sympatia Jurgi, Wanda Podsiadłowska, która, nawiasem mówiąc, została później żoną Forysia.

Podczas tych wyjazdów i spotkań niewiele się mówiło o konspiracji, natomiast dużo się śpiewało i grało a i niejedna butelka wódki przy tym została wypita. I chociaż Foryś sam był członkiem Armii Krajowej, niewiele wiedział o konspiracyjnej pracy swoich kolegów, którzy przecież należeli do tej samej organizacji. Zresztą do tej pory nie wiadomo prawie nic o działalności Cylkowskiego i Jurgi z wyjątkiem tego, że obaj zajmowali się obserwowaniem ruchu pociągów niemieckich idących w głąb Związku Radzieckiego. Prawdopodobnie obydwaj działali w tzw. Sekcji Kolejowej AK. Z owych czasów Forysiowi utkwił w pamięci fakt, że Cylkowski i Jurgo byli nierozłączni. Eda nigdzie się nie ruszył bez Sławka, a — co bardziej charakterystyczne — Sławek był jakby przez Edę pilnowany. Foryś odniósł wówczas wrażenie, jakby Jurgo wykonywał jakieś wyjątkowo odpowiedzialne zadania konspiracyjne, a Eda stanowił jego obstawę. Jedno w każdym razie jest pewne, że Jurgo w 1943 r. wyglądał na człowieka, który stale pozostaje w wielkim napięciu nerwowym. Z racji owej nerwowości, niemożności usiedzenia przez pięć minut na jednym miejscu, dziewczęta, wśród których cieszył się wielkim powodzeniem, nazywały go „żywym srebrem".

Kontakt z Edą i Sławkiem urwał się na zawsze w dniu 28 lipca 1943 r., kiedy Forysia wraz z żoną aresztowali w Krężnicy hitlerowcy i osadzili w więzieniu na Zamku. Wówczas to Lucjan Foryś poznał przyszłą ofiarę Sławkę, oberscharführera SS Tanzhausa.

Tanzhaus był postacią doskonale znaną wszystkim więźniom, osobą w pewnym sensie „popularną". Rudy, potężnej budowy strażnik więzienny z ogromnym brzuchem i byczym karkiem, który nie pozwalał mu na utrzymywanie głowy w normalnej pozycji, ale sprawiał, że oberscharführer wspierał podbródek na swej rozłożystej piersi, zyskał sobie przewisku „Krowy". Być może do powstania tego przezwiska przyczynił się jeszcze bezmyślny, „cielęcy" wyraz wielkich, wybałuszonych oczu strażnika. Również chód miał Tanzhaus charakterystyczny, „krowi". Chodził wolno, ciężko przewalając się z nogi na nogę. Natomiast w usposobieniu nie miał Tanzhaus nic z cielęcia czy krowy. Był to człowiek okrutny, sadysta, który z lubością obserwował reakcje więźniów na wiadomość o wydaniu na nich wyroku śmierci. Ów pijak i morfinista, uznawany za szarą eminencję Zamku, lekceważący nawet polecenia komendanta więzienia, Domnicka, najczęściej wyczytywał osobiście wyroki śmierci. Utarło się nawet wśród więźniów przekonanie, że jeżeli w pobliżu którejś celi pojawia się strażnik Stolarczyk, to wkrótce ktoś zostanie wypuszczony na wolność, jeżeli Tanzhaus — niechybnie któryś z więźniów rozstanie się z życiem. Dodatkową przyjemność sprawiało Tanzhausowi wchodzenie bez obstawy do celi pełnej więźniów, co było surowo zabronione przez kierownictwo więzienia ze względu na bezpieczeństwo strażników. Właśnie dzięki tej swojej ostatniej „namiętności" miał wkrótce Tanzhaus ponieść zasłużoną karę.

Lucjan Foryś niejako rozminął się ze Sławkiem na Zamku. 29 września został wywieziony do Oświęcimia. Jurgę aresztowano 31 października 1943 r. Najprawdopodobniej wsypał go jakiś kolejarz lub banschutz. Tak przynajmniej twierdził w rozmowie z towarzyszami niedoli w więzieniu.

Historia aresztowania Jurgi nosi zresztą w sobie element niezwykłości. Wezwany pewnego dnia do dyrekcji kolejowej w jakiejś niby to służbowej sprawie, zniszczył przedtem wszystkie mogące skompromitować go dokumenty. Kiedy już na miejscu zorientował się, że oczekują go nie zwierzchnicy, ale oficerowie gestapo, wyskoczył przez okno z pierwszego piętra budynku stacyjnego i ukrył się między wagonami towarowymi. Zorganizowana błyskawicznie obława z udziałem psów policyjnych doprowadziła do ujęcia Jurgi. Katowany w gmachu gestapo „Pod Zegarem" — nie pisnął ani słowa. Został następnie przewieziony na Zamek, a ponieważ nie udowodniono mu niczego, spodziewał się rychłego zwolnienia.

Na Zamku Sławek pełnił funkcję korytarzowego w więziennym szpitalu, w którym m. in. pracował polski lekarz, dr Bońkowski. Przebywał wówczas najprawdopodobniej w celi nr 72. Z mieszkającą w Lublinie siostrą Wandą kontaktował się za pomocą grypsów, przenoszonych najczęściej przez strażniczkę Felicję. Jakie warunki panowały wówczas w szpitalu, najlepiej świadczy fragment relacji byłej więźniarki, Janiny Margasińskiej:

Władze więzienia nie interesowały się specjalnie szpitalem. Opieka należała do polskiego personelu lekarskiego. Niemcy bali się tyfusu, który stale tu panował (...) Szpital składał się z 7 do 9 cel i 2 osobnych dla kobiet. Z powodu stałego przepełnienia, kiedy w celi o normalnej pojemności 12 osób umieszczano od 30 do 40, stan sanitarny był fatalny. Sale szpitalne (...) były zabrudzone, zawszone i zapluskowione.

Obok pełnienia funkcji korytarzowego Jurgo pomagał również personelowi lekarskiemu w robieniu opatrunków. M. in. opatrywał związanego z konspiracją strażnika więziennego, Andrzeja Śledzia, który po „rozpracowaniu" go przez gestapo został potwornie skatowany.

Z uwagi na charakter swojej pracy miał Jurgo niemal stały dostęp do pomieszczenia, w którym znajdowało się szpitalne ambulatorium. Najprawdopodobniej przypadkowo odkrył w nim ukryty pod sterylizatorem nóż chirurgiczny. Instrument ów schował dr. Bońkowski, działający w porozumieniu z korytarzowym Kobyłeckim i więźniem Pośnikowskim. Przeczuwając, że zostaną w niedługim czasie rozstrzelani, postanowili drogo zapłacić za swoje życie. Po różnych kątach szpitala pochowali siekierę, sztylet i odkryty przez Sławka, doskonale wyostrzony, nóż chirurgiczny.

W piątek, 21 lipca 1944 r., oberscharführer SS Tanzhaus pojawił się w obrębie szpitala. Szedł jak zwykle bez obstawy, w ręku trzymał długą listę osób skazanych na śmierć, które kolejno wywoływał z cel. W szeregu wywołanych więźniów stanął również Władysław Jurgo. Ubrany był — jak większość więźniów — w swoje cywilne ubranie: bryczesy, buty z cholewami, na głowie miał włóczkową czapeczkę. „Krowa" spacerował z uśmiechem na ustach przed szykującą się na śmierć kolumną. Co kilka kroków zatrzymywał się przed którymś z więźniów i jak gdyby nigdy nic zagadywał do niego.

I oto zbliża się do Sławka, staje przed nim, szykuje się do powiedzenia kolejnego „dowcipu". W tej chwili Jurgo schyla się, wydobywa zza cholewy nóż i rzuca się na strażnika. Ciężki, krowowaty Tanzhaus zdobywa się w obliczu śmierci na błyskawiczny refleks. Okręca się na pięcie, rzuca w kierunku drzwi. Jurgo dogania go w drzwiach i wbija ostrze lancetu w kark SS-mana. Ponawia pchnięcie. Mierzy w szyję, w głowę, bo wśród więźniów panuje przekonanie, że wszyscy strażnicy noszą pod mundurami stalowe koszulki. Tanzhaus z rykiem — niektórzy świadkowie twierdzą, że z przeraźliwym piskiem — odwraca się, zasłania rękami. Na próżno. Dosięga go kolejny cios Jurgi. Tym razem w bok szyi. Tanzhaus, krwawiąc, znów się odwraca, wypada za próg, tam wali się na ziemię, po chwili jest już martwy.

Jurgo wie, że zaraz wpadną zaalarmowani krzykiem strażnicy. Jeżeli sam nie zginie, wszyscy więźniowie zostaną natychmiast wystrzelani. Wbiega w otwarte drzwi ambulatorium. Na ścianie na przeciwko wisi wielkie lustro. Sławek doskakuje do lustra, przykłada nóż do piersi, do miejsca, gdzie powinno znajdować się serce, jednym zdecydowanym pchnięciem wbija nóż po rękojeść. Krew tryska na lustro. Koniec.

W kilkanaście minut później na Zamku jest już gestapo spod „Zegara". W pierwszym porywie wściekłości Niemcy chcą natychmiast rozstrzelać wszystkich więźniów. Komendant więzienia, Domnick, sprzeciwia się. Między innymi twierdzi, że Tanzhaus sam był sobie winien. Sprzeciwił się wyraźnemu rozkazowi, który mówił, że nie wolno wchodzić strażnikom pojedyńczo do cel, w których przebywają więźniowie. Poza tym zabójca sam się pozbawił życia. Jak się później okazało, „wspaniałomyślność" Domnicka była podyktowana... brakiem na Zamku samochodów do wywożenia trupów.

Zaplanowany przez hitlerowców od dawna mord na więźniach Zamku został dokonany następnego dnia. Opisano go już w wielu publikacjach i dlatego nie będę tutaj opisu tego powtarzać. Warto natomiast poświęcić jeszcze kilka słów osobie Jurgi i osobie Tanzhausa. Zwłoki oberscharführera zostały złożone do trumny, którą na razie postawiono na dziedzińcu zamkowym. Pogrzebu nie zdołano mu już wyprawić. Ciało Jurgi rzucono do trupiarni znajdującej się na strychu budynku więziennego. Tam, 22 lipca, po masakrze więźniów i po opuszczeniu Zamku przez Niemców, odnalazła je właścicielka domu przy ul. Wspólnej 16, Danuta Łuszczewska, oraz sąsiadki Sławka — Irena Dobrowolska i jej siostra. Rozpoznały go po bryczesach i butach z cholewami oraz po włóczkowej czapeczce, którą wciąż miał na głowie.

Dopiero dwa dni później po uspokojeniu się działań wojennych w mieście i po zdobyciu trumny kobiety mogły pomyśleć o sprawieniu Jurdze pogrzebu. Trumna została przeniesiona pod cmentarz przy ul. Lipowej, ale pogrzeb się nie odbył. Na cmentarzu kryli się Niemcy, którzy strzelali również do cywilów. Zwłoki Sławka przeleżały jeszcze dwa dni tuż za murem cmentarnym, aż 26 lipca partyzanci zakopali trumnę przy alei znajdującej się w pierwszej kwaterze na lewo od głównego wejścia na cmentarz. Później postawiono na grobie skromny, lastrykowy pomnik.

Nie wiadomo dokładnie, gdzie spoczywają zwłoki oberscharführera Tanzhausa. Zaraz po wyzwoleniu Lublina zostały one pogrzebane gdzieś u stóp Zamku, w ruinach getta.

Jerzy Chłodnicki

topory

w moich drzewach coraz częściej zgrzyt
toporów

nic to
droga coraz szersza wybucha
rozpryskuje się ku wsiom

czasem topór nie uderza ale ból
za plecami w korę ostrzem
rozsadza na dwoje pędy
najzdrowsze

nie toporem nam ręce obrzmiały
oklaski na nic drzewom

Andrzej Raczyński

II labirynt

Soni M.

Dawny architekt zamykał cicho powieki
Usłyszałem
Jak wiatr otwierał drzwi do mego pokoju

Wystarczyło
By ocalał mój rozum
Znałaś tylko dwadzieścia trzy słowa

Michał Tracz

*
* *

W zwartej grupie
łamiąc palce

rzeki nadaremnie pragnąc

stoją w ciszy spokorniałej
snu przebrzmiały akord

Za oknami huczą głosy
ręce łamią się swarliwe

Frasobliwy brodę głaska
Okiem patrzy już łaskawym

Spadło na nich — śniegiem deszczem
krwawą pełnią lata

zamaszyście rozrzucone
Cnót wszelakich ziarno

Dumni czy ci — z jasną twarzą
uciekają spod Ołtarzy

oczekiwać teraz będą
jaki Plon przyniesie ziarno

Jak wykształcić model Polaka?

Ciąg dalszy ze str. 1

Należy dążyć do ograniczenia tej pracy. Tak samo — czy warto uczyć człowieka szacunku dla pracy biurokratycznej? Moi młodsi koledzy po otrzymaniu pracy są wstrząśnięci tym, że trzeba siedzieć 7—8 godzin za biurkiem, gdy rzeczywistej pracy wystarcza tylko na 3 godziny.

Subotowicz: — Wojna, migracje ludności, procesy urbanizacji, przejście kilku milionów ludzi ze wsi do miasta, zdewaluowały wiele dawnych autorytetów. W takich sytuacjach normy moralne zawsze ulegają zachwianiu. Mówiąc o dobrej robocie, nie możemy ustawić sprawy — jak to się powszechnie robi — na płaszczyźnie tylko zachęty i łagodnej perswazji. Okres bohaterszczyzny także minął. Warto, oczywiście, czasem wracać do dobrych wzorców, ale nie stale i nie do znudzenia, bo stare prawo psychologiczne powiada, że wtedy te apele przestają skutkować. Należy stworzyć taką sytuację społeczną, aby każdy człowiek sam z siebie i bez poganiania dawał w pracy maksimum dobrej woli, wysiłku i sprawności intelektualnej.

Istotnym bodźcem jest tu bezpośredni interes materialny. Socjalizm w naszym kraju zapewnił wszystkim możliwość bezpłatnego kształcenia na wszystkich szczeblach, zapewnił awans społeczny czy dobrze zorganizowaną służbę zdrowia. Ale przeciętny Polak uważa to za rzecz oczywistą i w swojej nowej sytuacji społecznej nie widzi bezpośredniego interesu materialnego, natomiast codzienny interes materialny w postaci zarobków i ich siły nabywczej rzutuje istotnie na jego pracę. W ustroju kapitalistycznym człowiek jest przymuszany do pracy obawą o jej utratę i jej ekonomiczną atrakcyjnością.

U nas, na szczęście, ta groźba nie istnieje, jednak powinien być zachowany element konkurencyjności systemu. Chodzi o to, aby człowiek, który może dać więcej, widział w tym nie tylko kraju, narodu, ale i swoje bezpośrednie materialne korzyści. W takiej sytuacji zanika biurokracja, bo człowiek sam siebie kontroluje celem osiągnięcia optymalnej i dobrej roboty. Zarobek, po pokryciu utrzymania, powinien zapewnić tanie i łatwe nabycie atrakcyjnych towarów. Ze względu na wciąż jeszcze wysokie ceny tych towarów, większość nadwyżki zarobków idzie u nas na żywność i alkohol: przepijamy około 40 miliardów złotych rocznie. Wyobraźmy sobie, że pewnego dnia Polacy przestali pić. Czy mamy na rynku dostateczną ilość atrakcyjnych dóbr, które mogłyby być zakupione za owe 40 miliardów? Jest więc zasadniczą sprawą dalekosiężnej polityki, aby wyprodukować dostateczną ilość takich dóbr po przyzwoitych cenach. Wydaje mi się, że to będzie dostatecznym bodźcem do dobrej roboty; to nie warunek jedyny, ale zasadniczy.

Dostatni: — Aby dobra, wydajna praca była atrakcyjna, należałoby zmienić progresywny podatek od wynagrodzeń, który wprawdzie obcina kominy, ale znacznie częściej hamuje większy wysiłek. Robotnicy w niektórych zawodach nie chcą, chociaż mogą, przekraczać w większym stopniu normy, bo to się im nie opłaca. Stąd także mniej szacunku do pracy.

Subotowicz: — Musimy stworzyć sytuację, w której pracownik będzie cenił swoją pracę i aktualne stanowisko. Utrata tego stanowiska za jakieś przewinienie powinna być równoznaczna z poważnym obniżeniem zarobków tego pracownika, jego stopy życiowej. Natomiast u nas po utracie jednego stanowiska zbyt łatwo znaleźć nowe, często lepiej płatne. W tym sensie ustrój nasz jest ustrojem łagodnym. Przykład dobrej roboty Polaków za granicą i nie zawsze najlepszej w kraju wskazuje, że ustawienie ludzi w systemie pracy w Polsce ma istotne wady, zarówno organizacyjne jak i te, które krótko streścimy stwierdzeniem: niewłaściwe ustawienie bodźców ekonomicznych. Kiedy mówię o organizacji pracy i produkcji, mam na myśli wysoką rangę i znaczenie fachowości, podniesienie tej rangi w każdym zawodzie i na każdym szczeblu. Znane swego czasu hasło „Nie matura lecz chęć szczera..." dotyczyło nie tylko wojska, ale i naszego przemysłu, administracji, szkolnictwa, prasy, polityki itd. Musimy istotnie poprawić jakość czynnika dyspozycyjnego na wszystkich szczeblach. Skutki bowiem stosowania wspomnianego hasła trwają do dziś. Fachowość działania w pracy i fachowość decyzji na wszystkich szczeblach musimy podnieść jako postulat zasadniczej wagi. Błędne decyzje na odpowiedzialnych stanowiskach mają obszerne, i długoczasowe skutki. Ostatnia sprawa to możliwości rozwinięcia inicjatywy przez ludzi, którzy mają coś do zrobienia i coś do powiedzenia. Zielone światło dla nich!

Mizińska: — Jeżeli wszystko sprowadzimy do bodźców materialnych, to na czym ma polegać ów socjalistyczny stosunek do pracy? Czym się będziemy różnili od stosunku kapitalistycznego? Zdaje się, że po drodze coś gubimy.

Subotowicz: — Mnie wydaje się, że np. produkcja rzeczywiście tanich samochodów może znacznie szybciej i powszechniej skłonić Polaka do dobrej roboty, niż powoływanie się na bardzo wzniosłe cele.

Komorowski: — Jeżeli mamy poszukiwać modelu Polaka, to należałoby go ująć w wielopostaciowy wzór osobowy. Redaktor Dostatni marzy o Polaku socjalnistycznie moralnym, prosząc jednocześnie o skonkretyzowanie, na czym to polega. Trzeba by tu przeprowadzić jakieś studium komparatystyczne między moralnością socjalistyczną a np. chrześcijańską, ale to zaprowadziłoby nas zbyt daleko. Pani magister Mizińska pyta, czy każda praca zasługuje na szacunek. Myślę, że na określonym etapie każda praca, fizyczna czy umysłowa, zasługuje na szacunek, byleby była użyteczna społecznie. Jeżeli za 50 lat sama technika zdoła oczyszczać ulice, to praca zamiatacza ulic nie będzie sensowna, ale dziś ona też zasługuje na szacunek. Człowieka rozwija, zbliżając go do wzoru nowoczesności, działalność umysłowa, której wynikiem oby był homo sapiens.

Moralność skupiałbym na maksymie Komisji Edukacji Narodowej: postępuj tak, żeby innym z tobą, a tobie z innymi było dobrze — oto kryterium stosunków interpersonalnych. Wynikiem działalności moralno-społecznej byłby homo oeconomicus, używając nomenklatury marksowskiej. Rezultatem kształtowania przez działalność artystyczną, przez sztukę — byłby homo ludens. Jeszcze mi się marzy Do-Ro, dobra robota, o której tu wspomniano. Rezultatem wychowania przez technikę, działalności technicznej, byłby homo faber, człowiek sprawny, rzetelny, mówiąc językiem prof. Kotarbińskiego — człowiek spolegliwy. Można na nim polegać, bo zna się na dobrej robocie, na skutecznym działaniu, zarządzaniu, kierowaniu. I wreszcie homo sanus, człowiek zdrowy i psychicznie i fizycznie, czego nie można oddzielać. Te zintegrowane postawy powinny się składać na osobowość człowieka. Za prof. Tomaszewskim z 50 definicji osobowości wybieram tę: jest to system wewnętrznej organizacji człowieka, polegającej na tym, że człowiek o wysoko rozwiniętej osobowości integruje maksimum postaw pozytywnych, chociaż wymieniłem tylko pięć.

Jak to realizować? Oświata musi iść w parze z wychowaniem. Jeden może dużo wiedzieć, ale zawala robotę, inny wie mniej, ale pracuje lepiej. To sprawa charakteru, kształtowanego przez wychowanie. To również sprawa zaangażowania.

Olesiejuk: — W „Przeglądzie Technicznym" z 5 września przeczytałem takie zdanie: „Gdy chcesz planować na jeden rok — siej ziarno, gdy chcesz planować na 10 lat — sadź drzewo i sady, gdy chcesz planować na 100 lat — nauczaj lud". Myśl ta ma pełne zastosowanie w praktyce. Zmiany w życiu ekonomicznym, społecznym i politycznym, które w tej chwili się zarysowują, stwarzają konieczność przeprowadzenia reform w dziedzinie oświaty i wychowania. Jeżeli te działania mają być użyteczne, muszą iść z głównym nurtem przemian w życiu narodu, muszą służyć narodowi w okresie tych przemian. Z jednej strony służą one potrzebom reform, z drugiej jednak mogą być hamulcem, jeżeli zostaną w tyle.

Nauka polska sięgała już bardzo wysoko, ale dołom daleko do ideału. Istnieje jedność oświaty i wychowania, ale chodzi także o to, aby istniała zgodność słów z czynami. Wytyczne dają obraz reform, które powinny być przeprowadzone i w ich świetle zarysowuje się sylwetka Polaka przyszłości. Ta sylwetka powinna być skonkretyzowa-

Ewa Janik

Bohdan Komorowski

Jadwiga Mizińska

Idzie rewolucja egzystencjalna

Dokończenie ze str. 1

Co znaczy dotrzymywać kroku swojemu czasowi, osobistemu, społecznemu i politycznemu w dziedzinie kultury? Czytać gazety, chodzić do kina, śledzić bieżącą produkcję wydawniczą, bywać na wernisażach, brać udział jako widz i słuchacz w głośnych festiwalach? W połowie tak, bo żyć w swoim czasie znaczy korzystać z jego wytworów. Ale uczestniczyć znaczy przede wszystkim kształtować siebie teraz i przewidywać przyszłe zmiany, jakie bez naszej codziennej świadomości dzieją się już obecnie. Kształtowanie przyszłego modelu oznacza również wiedzę o tym, co dzieje się współcześnie, ale przede wszystkim korzystanie z danej człowiekowi zdolności dedukowania własnego losu ze znaków niesionych przez codzienną teraźniejszość.

Człowiek współczesny w coraz większym stopniu panuje nad swoim środowiskiem. Przekształca je, zmienia i dostosowuje do potrzeb swoich i swojego gatunku. Podejmuje wyprawy w przestrzeń kosmiczną, dokonuje penetracji systemu planetarnego, zapowiada podróże międzygwiezdne. Wzmaga funkcje własnego mózgu i organizmu przy pomocy urządzeń cybernetycznych. Poszerza zakres zmysłów organizując nowe systemy poznania (radar, holografia, lasery, systemy satelitarne, komputery). Mnoży zdolności produkcyjne przy pomocy automatyzacji, dokonuje cierpliwych eksperymentów w dziedzinie fuzji nuklearnej z nadzieją, iż zaopatrzy ludzkość w nowe, praktycznie niewyczerpalne źródła energii. Jednocześnie, wykorzystując te same imponujące techniki, organizuje skomplikowane i złowróżbne systemy zaczepno-obronne, wyrównując w ten sposób szanse samozniszczeniu i przetrwaniu. Stosuje sztuczne zapłodnienie, przeszczepy serca i nerek oraz naczyń krwionośnych, podejmuje starania o sztuczne serca i nerki; sztuczne naczynia krwionośne już funkcjonują w wielu ludzkich organizmach. Ma zamiar produkować sztuczne kończyny, mimochodem pokonując na dobre barierę immunologiczną; już zbudował sztuczną macicę utrzymującą przy życiu wcześniaki nie nadające się dotąd nawet do inkubatora. Planuje sztuczną hodowlę embrionów i jednocześnie przeprowadza badania struktury genetycznej człowieka, którą zamierza ulepszyć eliminując w drodze swobodnego wyboru cech wrodzone wady, niebezpieczeństwo różnych chorób i upośledzenia umysłowego. Jednak i tu musi się liczyć z groźbą wykorzystania owych zdobyczy przez szaleńców, z groźbą daleko idącej dehumanizacji, za zniszczeniem albo degradacją ludzkiego gatunku. Są to, rzecz prosta, możliwości przyszłych lat albo dziesięcioleci, ale każde „jutro" wyrasta z korzeni każdego „dzisiaj".

Procesy technologiczne, naukowe, polityczne i społeczne determinują zachowanie człowieka. W przeszłości determinowały jego postawy w stopniu wręcz uniemożliwiającym świadome kierowanie sobą i światem. Czy człowiek potrafi uzbroić się w dostateczną samoświadomość i w dostatecznie naukowe widzenie świata, które w stopniu znaczniejszym niż dotąd pozwoliłyby mu decydować o sobie, kształtować środowisko i kierować biegiem wydarzeń — oto problem teraźniejszości i lat najbliższych. Jak dalece człowieka lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych można przygotować do kontrolowania jego własnych wytworów, aby go nie przytłoczyły i aby mu były posłuszne instytucje gospodarcze, społeczne i polityczne, powołane z myślą o potrzebach jednostki i społeczności?

Wybitni uczeni przepowiadają rychły początek rewolucji egzystencjalnej. Niektórzy twierdzą nawet, że już jest ona faktem. Co to znaczy?

Człowiek współczesny, dopingowany przez własne osiągnięcia, musi dokonać przebudowy struktury gospodarczej i społecznej, przebudowy struktur politycznych, państwowych i międzynarodowych. Zdaje sobie coraz pełniej sprawę, że nie istnieje już dłużej, lub wkrótce nie będzie mógł istnieć, w swojej społeczności niczym w kokonie, odizolowany od innych społeczeństw; że nie jest już możliwy byt ściśle narodowy tylko, że jest świadomy swojego członkostwa (bardziej praktycznie aniżeli teoretycznie) w wielkiej światowej wspólnocie. Jest świadomy, że państwo, które pozbawiałoby siebie korzyści płynących ze współpracy gospodarczej, naukowej, technicznej i politycznej, skazane byłoby na uwiąd. Naród izolowany musiałby stać się albo niewolnikiem własnej przeszłości, albo innych silniejszych struktur państwowych czy ponadpaństwowych. Społeczeństwo takie stałoby się rychło przeżytkiem wieku maszyny parowej lub ery silnika spalinowego. Musiałoby się w konsekwencji odciąć od wszelkich kanałów komunikacyjnych, gospodarczych, naukowych i politycznych — stanowiących dzisiaj naturalny i konieczny krwiobieg ludzkości.

Człowiek współczesny musi również dokonać radykalnej przemiany samego siebie. Musi wziąć pod uwagę współczesne realia i dostosować swoje postawy do postępu technologicznego, naukowego i społecznego. Rewolucja egzystencjalna zatem polega przede wszystkim na reorientacji kulturalnej, która staje się warunkiem sine qua non istnienia nie tylko człowieka jako jednostki świadomie kształtującej siebie i świat, ale człowieka jako gatunku.

Często w formie przestróg podnosi się problem dehumanizacji człowieka pod wpływem wywołanych przez niego procesów technologicznych, gospodarczych i politycznych. Niebezpieczeństwo istnieje nadal. Wybitni znawcy przedmiotu zapowiadają narodziny człowieka technologicznego, który potrafi sprostać skomplikowanym warunkom ludzkiej egzystencji nie tylko wspartej zdobyczami naukowymi i technologicznymi, ale w równym stopniu nimi zagrożonej. Człowiek technologiczny będzie człowiekiem obeznanym ze współczesną technologią, obeznanym ze współczesną nauką, ze współczesnymi strukturami społecznymi, politycznymi i gospodarczymi. Będzie człowiekiem organizującym świadomie swoje postawy wobec świata, wobec społeczeństwa oraz innych jednostek. Człowiek technologiczny będzie tworzył świadomie nową i lepszą cywilizację.

Roli kultury w kształtowaniu człowieka współczesnego i człowieka jutra nie podobna przecenić. Wszystkie powyższe uwagi zmierzają do zaakcentowania roli i rangi kultury w kształtowaniu przyszłości społeczeństwa i narodu. Należy znaleźć odpowiedź na pytanie, w jaki sposób istniejące instytucje, modele i projekty kulturalne umożliwią realizację bardzo ważnego kierunku działania, sformułowanego w Wytycznych na VI Zjazd? Mówi się w tym dokumencie, że jednym z głównych założeń polityki kulturalnej jest aktywizacja instytucji kulturalnych w procesach rozwojowych społeczeństwa.

Pytań i wątpliwości jest sporo. Czy, dla przykładu, istniejący model upowszechniania kultury jest modelem słusznym, czy jest w stanie wyjść na przeciw potrzebom społeczeństwa? Czy istniejące instytucje kulturalne dysponują niezbędną elastycznością zaangażowanego w nich potencjału ludzkiego i materialnego, aby mogły przygotowywać ludzi do współżycia z rezultatami wdrażanej przemiany naukowo-technicznej? Czy instytucje te są dość prężne i czy podejmowane w nich decyzje wywodzą się ze społecznych i gospodarczych realiów? Czy — w dalszym ciągu — są one w stanie przedsięwziąć działania zmierzające do reorientacji kulturalnej, przystosowania funkcjonujących obecnie wzorów do potrzeb społeczeństwa technologicznego, jakim będziemy musieli wkrótce się stać, jeśli nie zechcemy za kilka lub kilkanaście lat stanąć w szeregu krajów nierozwiniętych? Czy instytucje te — Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz agendy kulturalne władz terenowych w ich obecnym stanie funkcjonalnym — będą mogły podjąć kroki zmierzające do ukształtowania w społeczeństwie autentycznej zdolności uczestniczenia w procesach gospodarczych, politycznych i społecznych? Czy — w końcu — zamiast powielania w nieskończoność wzorców przestarzałych i bezkrytycznie przejętych z repertuaru tzw. kultury masowej społeczeństw zachodnich, zdołają zaproponować wzorce własne, ale nowocześniejsze, bardziej skuteczne?

Niebezpieczeństwo, wydaje się, tkwi w działalności zbyt często i nazbyt odtwórczo sięgającej do tradycji kulturalnych w zakresie upowszechnienia i do zmumifikowanych modeli w zakresie treści. Społeczny ruch kulturalny nie powinien zastępować działań instytucjonalnych, instytucje z kolei nie mogą zasklepiać się w wieży z kości słoniowej wyniosłej kontroli i proponowania zamierających formuł. Społeczny ruch kulturalny nie powinien sięgać do wzorów z okresu kulturalnej szmacianki. (Prawdę mówiąc, nie bardzo wierzę w istnienie autonomicznego ruchu społecznego, który w dzisiejszych czasach mógłby w sposób twórczy i skuteczny występować jako partner działalności zinstytucjonalizowanej). Działalność kulturalna jest bowiem nie tylko upowszechnianiem, ale również tworzeniem i przewidywaniem. Jeśli kultury nie będziemy rozumieć jedynie jako rzeczy pośredniej między rozrywką i sposobem spędzania wolnego czasu, a uświadomimy sobie — z praktycznym wykorzystaniem tej wiedzy — jej rolę w formowaniu światopoglądu, samoświadomości człowieka i jego postaw, sprawy kultury prędzej czy później będą musiały się znaleźć na forum wybitnych ekspertów, wśród których (podobnie jak wśród ludzi debatujących nad przyszłością technologii, nauki, gospodarki i społeczeństwa) muszą znaleźć się, zamiast samozwańczych proroków, dobrzy znawcy problemów futurologicznych.

Kształtu człowieka nie podobna oddzielić od kształtu kultury. Człowieka przyszłości możemy określić według tego, co się dzieje współcześnie. Wiele wskazuje na to, że człowiek ten będzie za lat dwadzieścia inaczej ukonstytuowany psychicznie, politycznie i społecznie. Wiele symptomów świadczy również na rzecz przyszłych, większych niż dzisiaj, kłopotów z niedocenianym środowiskiem naturalnym, wiele kłopotów dostarczy stawianie czoła zmieniającym się strukturom społecznym, wreszcie sam człowiek stanie się źródłem swojego największego zagrożenia: przeludnienie zmusi go do rewizji jego podstawowych nawyków, poglądów na siebie samego, na społeczeństwo i na ludzi, z którymi się będzie stykał. W sumie będzie to człowiek legitymujący się na pewno większym niż dotąd poczuciem odpowiedzialności za to, co robi, i za to również, czego pragnie.

na przez naukę na miarę naszych dążeń i potrzeb. Cele są sprecyzowane, tyle że w ogólnych zarysach, natomiast konkretnej metodyki wychowania i działania istotnie nie ma. Naukowcy zapewne czekają na praktyków. Eksperyment lubelski, prowadzony przez panią docent Zofię Krzysztoszek, próbuje te sprawy rozwiązać.

Mówimy o modelu przyszłości. A jaki jest współczesny? Mamy bardzo wiele młodzieży zdrowej, rozsądnej, ambitnej, bardzo pracowitej, ale mamy i część młodzieży niedostosowanej. Ten problem przygniata nas i czasem jesteśmy pod wrażeniem, że 25 lat Polski Ludowej nie dało wielkich efektów. To nieprawda. Margines społeczny istniał zawsze i jest on do zwalczenia. Zgadzam się z docentem Komorowskim, tylko z tym, że ideał wychowawczy „homo oeconomicus" trzeba wyjaśnić. Czy taki ideał nie istniał? Jak był rozumiany? Uważam, że taki ideał nie istnieje i nie będzie istniał, ale ideał wychowawczy człowieka, który będzie myślał kategoriami ekonomicznymi, to cel niezbędny. Borykamy się teraz z konfliktem współczesności i przyszłości. Współczesność oczekuje na naprawę. Komisja ekspertów z prof. Szczepańskim na czele da rozwiązanie, ale konkretny efekt zależy również od tego, jak władze oświatowe zechcą wcielić w życie postanowienia komisji. Wielkim zadaniem dla Partii i dla nas wszystkich jest skoordynowanie czynników, zaangażowanych w tej sprawie: nauczycieli, środowiska domowego, prasy, radia i telewizji, bo w tej chwili czasem jest tak, że co jedni ustawią, inni zepsują. Do wzorców docenta Komorowskiego dodałbym jeszcze ideał człowieka, który nie łamie się w spotkaniu z przeciwnościami.

Janik: — Nie zgodzę się, że u naszej młodzieży jest tak wspaniały stosunek do wszystkich zawodów. W Łodzi w szkołach średnich przeprowadzono ankietę, prosząc o uszeregowanie 30 zawodów. Na pierwszych miejscach znaleźli się inżynier, lekarz i artysta, w środku był nauczyciel, a na końcu prządka i tkaczka. Na Lubelszczyźnie na ostatnim miejscu znalazłby się zapewne zawód ślusarza czy tokarza. Tak więc praca fizyczna nie cieszy się takim prestiżem i taką chwałą, jakby się nam wydawało. Brakuje u nas kultury pracy i wewnętrznej dyscypliny pracy. Nie umiemy sobie pracy zorganizować, więc nie mamy dla niej szacunku. I wciąż mści się na nas stary model biurokracji: wypełnianie i przekazywanie papierków. Już od szkoły podstawowej trzeba pokazywać, jak należy sobie organizować pracę, uczyć tego i uczyć.

Feliks Olesiejuk

Mieczysław Subotowicz

Fot. J. Trembecki (CAF)

Subotowicz: — U pedagogów i wychowawców bardzo dużo miejsca w wypowiedziach zajmuje deklaratywny sposób ujmowania problemu. Powiadają, jak być powinno, rzadko — jak jest i jak poprawić to, co jest. Tak samo deklaratywnie ranga zawodu nauczycielskiego jest wysoka. Bardzo mi przykro, że reprezentuję tu „niski", materialny punkt widzenia. W Szwecji nauczyciel to kariera materialna. A jak jest w Polsce? Do tego zawodu nie idą teraz ludzie najlepsi. Zasadniczym tego powodem jest sytuacja materialna nauczyciela. Słusznie pan dyrektor powiedział, że skutki działalności i pracy nauczycieli trwają przez dziesiątki lat. Trzeba o tym dobrze pamiętać, ustawiając politykę wobec zawodu nauczyciela w skali państwowej. Jeszcze jedna uwaga na marginesie. Przygotowanie człowieka do zawodu to bardzo utylitarny i wąski cel pracy nauczyciela. Człowiek żyje raz jeden i jest niepowtarzalny. Wydaje mi się, że celem pracy nauczyciela powinno być także zaspokojenie naturalnej ciekawości ludzkiej. Prócz tego oświata będzie w przyszłości także jednym ze sposobów spędzania wolnego czasu, którego w automatyzującym się świecie człowiek będzie miał coraz więcej.

Mańkowski: — W Bułgarii widziałem ostatnio konsekwentnie wystawione hasła: naród bułgarski narodem techników. Ta indoktrynacja jest postawieniem społeczeństwa twarzą w twarz wobec rewolucji naukowo-technicznej. A gdybyśmy u nas rozpowszechniali hasło: naród polski narodem ludzi dobrze pracujących? Trzeba dać jakiś impuls nie tylko energii w pracy, ale ambicji w pracy. Same bodźce ekonomiczne tego nie rozwiążą.

Mizińska: — Chyba trochę się sfrustrowaliśmy widząc, że inni mają lepiej niż my i boję się, że z tej techniki możemy zrobić złotego cielca. A przecież nie człowiek dla techniki, lecz odwrotnie. Trzeba pamiętać o hierarchii celów. Uznajemy już dzisiaj, że nauka jest realną siłą wytwórczą, którą można przeliczyć na złotówki, chociaż w praktyce nie zawsze jeszcze to występuje. Chodzi mi o to, aby taką ocenę rozszerzyć również na wychowanie. To się wiąże z rangą pedagogiki i rangą nauczycieli. Należy tu myśleć nie tylko o pedagogice szkolnej, lecz tej bardzo szeroko rozumianej, potrzebnej w każdej dziedzinie życia.

Jaworski: — Pani Mizińska, powołując się nawet na Marksa, stwierdziła uprzednio, że szkodliwy jest pogląd uczenia szacunku dla pracy fizycznej. Rzecz jest bardzo dyskusyjna, bo nawet przy gwałtownym postępie techniki jeszcze długo utrzymają się zawody ściśle oparte na pracy fizycznej. Trudno je w czambuł potępiać, bo społeczeństwo nie składa się z samych profesorów, inżynierów czy lekarzy. Sięgnę do przykładu drastycznego: salowa w szpitalu. Praca jak najbardziej fizyczna, często nieprzyjemna, a jednak pełna poświęcenia. Komputer nie zastąpi salowej... Miałem, niestety, możność bliższego przyjrzenia się pracy tych kobiet i czuję do nich duży szacunek.

Inny problem: mówimy o kulcie techniki. Zgoda. Taki kult na pewno istnieje, ale czy nie zastanawia nas fakt, że wśród dużej części naszej młodzieży, którą tak lubimy potępiać, szerzy się też kult... poezji? Redakcje są bombardowane tekstami poetyckimi, często grafomańskimi, prawda, ale czy w tym zjawisku nie można dostrzec właśnie ucieczki od techniki?

Ale sprawa najważniejsza, o której nie mówiliśmy. Mam na myśli grudzień 1970 roku, VII i VIII Plenum KC i nowy klimat, jaki obserwujemy w całym kraju.

Mańkowski: — Słusznie, że mówimy o klimacie. Niemniej wydaje mi się, że trochę zboczyliśmy z tematu. Mnie chodzi o to, jak upowszechnić i zachęcić całe społeczeństwo do zmiany charakterologicznej, dostosowanej do nowych potrzeb. Stosunki międzynarodowe oraz stosunki produkcyjn w pewnym sensie automatycznie sterują człowiekiem. Ale to za mało.

Subotowicz: — Rozsądny polityk powinien apelować do tych momentów, które dadzą pożądany skutek. Jeżeli skutkiem ma być sprawność produkcyjna, to musi się odwoływać do tych czynników, które ową sprawność podniosą, zamiast szukać erzatzów, czyli nieefektywnych środków zastępczych.

Komorowski: — Klimat, o jakim mówił redaktor Jaworski, to układy obiektywne, które postulował również docent Subotowicz. Czy one mogą wpłynąć na nową świadomość społeczną? Oczywiście. Ponieważ czasem nauka, praca jest nierentowna, stąd rodzą się hasła „śmierć frajerom" lub „czy się stoi czy się leży". Jakoś na te układy trzeba wpłynąć, żeby z kolei przeorały świadomość społeczną, która jako element nadbudowy wpłynie na przekształcenie tego, co nazywamy bazą. Zarysował się u nas nowy klimat po grudniu. Przed grudniem wyznacznikiem wartości była deklaratywność.

Jaworski: — Co innego mówiła szkoła, a często co innego dom. Dzisiaj nie ma tej przepaści, rodzice zrozumieli, jakim przełomem dla kraju był zeszłoroczny grudzień. Stąd większa współpraca między domem a szkołą.

Komorowski: — U nauczyciela odpowiednikiem deklaratywności był werbalizm. To współgrało przed grudniem: przemawiano do mas jak do uczniaków, a nie rozmawiano z masami. Dziś Gierek rozmawia z masami, one zaś odpowiadają: pomożemy. A chodzi właśnie o pomoc w dobrej robocie. W związku z tym wyłania się problem właściwego taryfikatora pracy i płacy, a także właściwego planowania zawodów. Planowanie w zakresie oświaty i wychowania, a więc kształtowania świadomości społecznej, powinno wyprzedzać wszelkie planowanie ekonomiczne. Nie możemy jednak gubić się w szczegółach, planując tyle a tyle tysięcy w takim czy innym zawodzie. Przygotowanie techniczne jest znacznie kosztowniejsze niż ogólnokształcące. Przychylam się do zdania tych ekonomistów oświaty, którzy postulują dłuższą szkołę ogólnokształcącą, dającą większy zakres wiedzy ogólnej, szersze horyzonty, natomiast opowiadają się za krótszym kształceniem zawodowym. Badania przedwojenne i powojenne stwierdziły, że wykształcenie zawodowe jest tym wydajniejsze i sprawniejsze, im bardziej opiera się na wykształceniu ogólnym. W umiejętności transferu, w przerzucaniu się z zawodu do zawodu gra rolę inteligencja ogólna. Rewolucja techniczna tworzy wciąż nowe zawody. Szybkość przekwalifikowywania się jest zależna od wykształcenia ogólnego.

Subotowicz: — Tak, człowiek powinien być potencjalnie przydatny do wielu zawodów, ponieważ w dobie szybkiego postępu nauki i techniki będzie musiał zapewne parokrotnie zmieniać swój zawód. Stąd ważne: jak uczyć, czego uczyć i — może — kogo uczyć.

Komorowski: — Uważam, że dzięki automatyce będzie więcej miejsca na myślenie, na działanie twórcze, niż na pracę precyzyjno-automatyczną, którą będą wykonywać maszyny.

Subotowicz: — A ilu ludzi będzie stać intelektualnie na to, aby dorosnąć do tych trudnych czynności? Czy współczesna pedagogika nie zakłada, że każdego człowieka stać na to, co — moim zdaniem — absolutnie nie jest prawdą?

Komorowski: — Pedagogika mówi, że istnieją trzy kategorie ludzi: wychowalnych, częściowo wychowalnych i niewychowalnych.

Subotowicz: — Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że genetycznie rodzaj ludzki raczej się psuje. Dzięki postępom medycyny, higieny i farmacji przeżywają osobniki słabsze, nie tylko fizycznie. Powszechność oświaty sprawia, że z coraz szerszego kręgu wyciągamy jednostki wartościowe, które w istotny sposób pchają naprzód technikę, wiedzę, świadomość społeczną itd. Ale przeżywa też coraz więcej osobników znacznie gorzej przystosowanych. Drugi aspekt tego problemu wiąże się z faktem, że przyrost ludności jest znacznie większy wśród społeczeństw, których wkład w dotychczasowy rozwój cywilizacji i kultury był mniejszy, niż społeczeństw Europy czy Ameryki Północnej. Standardem rodziny indonezyjskiej, indyjskiej, afrykańskiej czy południowoamerykańskiej jest 6—10 dzieci, a europejskiej 2—3 dzieci. Sygnalizuję tu tylko ważny problem.

Komorowski: — Z tego wynikałoby, że jeżeli jeszcze nie ja, to moje wnuki będą gorszym „asortymentem" Jestem większym optymistą. W roku dwutysięcznym będziemy mieli 40 mln ludności. Ale chociaż dzisiaj mamy 11 mln ludzi w wieku poniżej 18 lat, to w tym dwutysięcznym będzie ich o 2 mln mniej, będzie więc mniej dziatwy do uczenia. Różnice między miastem a wsią zatrą się jeszcze więcej. Wyrównają się zatem poziomy rozmaitych szkół, a jakość kształcenia stanie się ważniejsza niż ilość kształconych.

Janik: — Niedawno Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kie-

Dokończenie na str. 11

Aby temu sprostać, konieczna będzie inna, powszechnie akceptowana percepcja świata oraz szersze spojrzenie na własne społeczeństwo. Jeżeli człowiek jutra będzie równie bezradny wobec stających się przemian, jak jego jaskiniowy protoplasta wobec czterech żywiołów, znaczyć to będzie, że zawiodła go nie tylko jego inteligencja, ale że również przecenił swoje możliwości kontrolowania własnych wytworów, w tym również postępu technicznego i naukowego.

Wytyczne na VI Zjazd są z natury dokumentem lapidarnym. Właściwość ta nie może być jednak rozumiana opacznie — jako zakreślenie sztywnych granic uniemożliwiających przemianę i dostosowanie do zmieniających się warunków. Nade wszystko nie może być rozumiana jako zwolnienie od obowiązku inicjatywy, rozumienia własnego czasu i odpowiedzialności. Bezpośredniej przed istniejącym społeczeństwem, moralnej wobec przyszłego pokolenia.

Bogdan Madej

Szkoła na miarę

Stefan J. Buksiński

DZIEJE naszej oświaty w ostatnim trzydziestoleciu przedstawiano dotychczas zbyt często jako pasmo permanentnych osiągnięć. Dziś nietrudno dopatrzeć się w tym ujęciu jednostronności. Rzeczywistość bowiem przedstawiała się mniej optymistycznie, ale za to bardziej malowniczo.

Jesteśmy słusznie dumni ze stworzenia w czasie okupacji najpotężniejszego w świecie systemu oświatowego, na którego fundamentach realizowaliśmy po wojnie ideę powszechności oświaty. W ostatnim dwudziestoleciu w wyniku dwu reform szkolnych wydatnie podniósł się poziom wykształcenia ogółu społeczeństwa. Przy wyliczaniu naszych niekwestionowanych sukcesów trzeba jednak pamiętać, że ostatnie ćwierćwiecze cechuje wyraźny postęp w dziedzinie oświaty na całym globie ziemskim.

Historia oświaty w Polsce Ludowej ma, niestety, do odnotowania także niejedno potknięcie. Tak zwany okres błędów i wypaczeń odbił się negatywnie na naszym systemie wychowawczym i dydaktycznym. Jego skutków nie zdołały w pełni zniwelować półśrodki stosowane w ostatnim 14-leciu.

Pod fasadą frazesów recytowanych z okazji Dnia Nauczyciela nawet niemędrca okiem można było obok osiągnięć ujrzeć również oznaki znużenia oraz obszary zaniedbań. Wówczas podnoszono wielkie larum na traktach oświaty i pozwalano każdemu — od przedszkolaka do redaktora — rzucać kamyk do ogródka pedagogicznego. Uderzano nim niemal wyłącznie ludzi bynajmniej nieświętych, ale też i nie najbardziej grzesznych, jakimi byli i są liniowi pracownicy frontu pedagogicznego — najliczniejsza grupa inteligencji polskiej. Głosy twórczej krytyki z dołów nauczycielskich nie docierały przez drzwi obite skórą do gabinetów.

Żywsze niż przed 1956 r. kontakty z zagraniczną myślą i praktyką pedagogiczną ujawniły konserwatyzm naszego systemu dydaktycznego. Podjęto słuszną próbę jego modernizacji, która spotkała się jednak z licznymi oporami. Tkwiły one nie tyle w tradycjonalizmie nauczycielskim, ile w niedostatecznej precyzji lansowanych teorii pedagogicznych, sztywnej strukturze systemu szkolnego i nie najlepszych metodach wdrażania nowatorstwa pedagogicznego, propagowanego tyleż hałaśliwie, co mało skutecznie.

Na przełomie 1970 i 1971 r. w wyniku ogólnonarodowej odnowy otworzył się nowy etap również i dla oświaty polskiej. Dla generalnej oceny dotychczasowego niedoskonałego systemu szkolnego powołano komisję ekspertów. Spotkało się to z aprobatą wielotysięcznej rzeszy nauczycielskiej. Równocześnie zrodziła się, moim zdaniem przesadna, wiara we wszechmoc tych dwudziestu kilku inteligentnych ludzi, którym powierzono rozcięcie węzła gordyjskiego oświaty, nie dając im przy tym do rąk tak skutecznego instrumentu, jakim był ongiś miecz Aleksandra Macedońskiego.

Dzieło twórczej przebudowy i rozbudowy naszego systemu oświatowego to długotrwały proces ciągły, oparty na dogłębnie przemyślanym programie, realizowanym i permanentnie weryfikowanym przez miliony nauczycieli, ich współpracowników i uczniów w klimacie ogólnej odnowy życia społecznego. Zrozumiałe, że nie może on być udziałem tylko jednego zespołu ludzkiego, ani zamykać się w ramach jednego, choćby najbardziej przełomowego roku.

Ze swojej strony pragnę w dyskusji przedzjazdowej zasygnalizować kilka wybranych problemów istotnych przede wszystkim, choć nie tylko, dla szkolnictwa średniego.

Za ważny warunek autentycznego postępu pedagogicznego uważam ujednolicenie naszego systemu oświatowego zarówno w układzie poziomym, jak i pionowym. Jestem przy tym jak najdalej od zacierania istniejących w jego ramach struktur, a proponuję jedynie burzenie sztucznych barier wzniesionych przez niedobrą tradycję oraz egoizm i snobizm niektórych grup społecznych.

Barierę tę widzę w niesprawiedliwym traktowaniu placówek oświatowych tego samego rzędu. Przybierają one czasem monstrualne rozmiary i formy zapożyczone od nieboszczyka Potiomkina. Przy uczęszczanych trasach widzimy np. pięknie wyposażone, jak na warunki polskie, budynki szkolne, gdy kilkanaście kilometrów dalej znajdują się szkoły, dla których czas się zatrzymał. Nauczyciele pierwszych placówek uskarżają się na wizytomanię przeróżnych czynników, nauczyciele drugich zbierają coroczne kondolencje z powodu złego przygotowania kandydatów do szkół średnich i wyższych.

Dopiero niż demograficzny i trudności z zatrudnieniem nowych magistrów w szkolnictwie średnim spowodowały rozmiękczenie przegrody dzielącej szkołę podstawową od liceów i techników. Najmocniejszą barykadę przeciw jednolitości systemu szkolnego wzniosły jednak wyższe uczelnie. Minister Jabłoński, jednocząc pod swym kierownictwem resorty oświaty i szkolnictwa wyższego zapowiedział rotacje kadr na linii szkoła średnia — uczelnia. Mimo to za idealnego pracownika naukowego uchodzi w dalszym ciągu adiunkt czy docent, który nie skalał się pracą w liceum czy technikum. Zapomniano, że praca w szkole średniej nie zaszkodziła Infeldowi być współpracownikiem Einsteina w Princeton, Kleinerowi wspaniale wykładać literaturę w czterech uniwersytetach, a Chwistkowi być inspiratorem nowych prądów różnych dziedzin kultury.

Efektywność nauczania ogromnie obniża brak dobrych podręczników. Przed rokiem zadałem sobie trud prześledzenia głównych etapów powstania podręcznika literatury polskiej dla liceum. Stwierdziłem przy tym rzeczy następujące: 1) nie przeprowadza się badań nad wartością użytkową istniejących podręczników, a uwagi nauczycieli nie docierają do właściwych adresatów, 2) między Ministerstwem, Instytutem Pedagogiki i PZWS brak jest odpowiedniej współpracy, 3) większość istniejących podręczników to wytwory dziesiątej z rzędu pracy (po zajęciach badawczych, dydaktycznych, redaktorskich, konferencyjnych etc.) dodatkowej ludzi nauki, niedostatecznie zorientowanych w aktualnej problematyce liceum (zamiast pisać własne kompendia, powinni oni raczej zajmować się merytorycznym recenzowaniem cudzych), 4) możliwości napisania i wydania podręcznika przez wyróżniającego się wiedzą i doświadczeniem nauczyciela szkoły średniej — są bliskie zeru. Sapienti sat.

Modernizacja metod nauczania czyni skromne postępy m. in. z powodu mankamentów wdrożeniowych. Wybitni teoretycy pedagogiki (mamy ich zbyt mało) mają poważne trudności z przełożeniem swych teorii na język praktyki. Mniej wybitni traktują czasem swój kontakt ze szkołą średnią głównie jako instrument niezbędny do wydania pracy i uzyskania wyższego stopnia naukowego. Odczuwa się dotkliwą lukę na styku naukowiec teoretyk — nauczyciel praktyk. Luki tej nie byli w stanie dotąd wypełnić pracownicy ośrodków metodycznych, związani instytucjonalnie z administracją szkolną.

Wydaje się, że wdrażanie postępu pedagogicznego skuteczniej mogliby realizować kierownicy zespołów przedmiotowych związani z konkretnymi szkołami, dysponujący dużą wiedzą i bogatym doświadczeniem, posiadający otwartą głowę i umiejętność eksperymentowania. Takich ludzi trzeba odnaleźć, doszkolić, wyposażyć w prerogatywy i opłacić stosownie do efektów ich pracy.

Koncentrowanie się szkoły niemal wyłącznie na zagadnieniach operatywności dydaktycznej, jak miało to miejsce dotąd, pozostawia odłogiem rozległe i ważne obszary ziemi niczyjej, które eksploatują w sposób rabunkowy również ludzie do tego najmniej powołani. Zwrócił na nie uwagę Bogdan Suchodolski w ostatnim numerze „Miesięcznika Literackiego", postulując, aby celem polskiego systemu oświatowego było nie tylko wykształcenie takiego człowieka, który będzie umiał coś robić, ale i umiał kimś być.

Do spełnienia tego ambitnego zadania potrzebni są nauczyciele i wychowawcy, którzy by byli również kimś, to znaczy nie tylko mniej lub więcej sprawnymi wykonawcami cudzych zleceń, lecz przede wszystkim ludźmi odznaczającymi się bogatym życiem psychicznym, samodzielnością myślenia i prawością charakteru. Warunkiem rozwoju takich indywidualności jest podniesienie rangi społecznej zawodu nauczyciela i zagwarantowanie optymalnych warunków rozwoju samemu społeczeństwu, które zawsze ma szkołę na miarę swych konstytucjonalnych cech — rozwoju i dekadencji.

Kamena str. 7

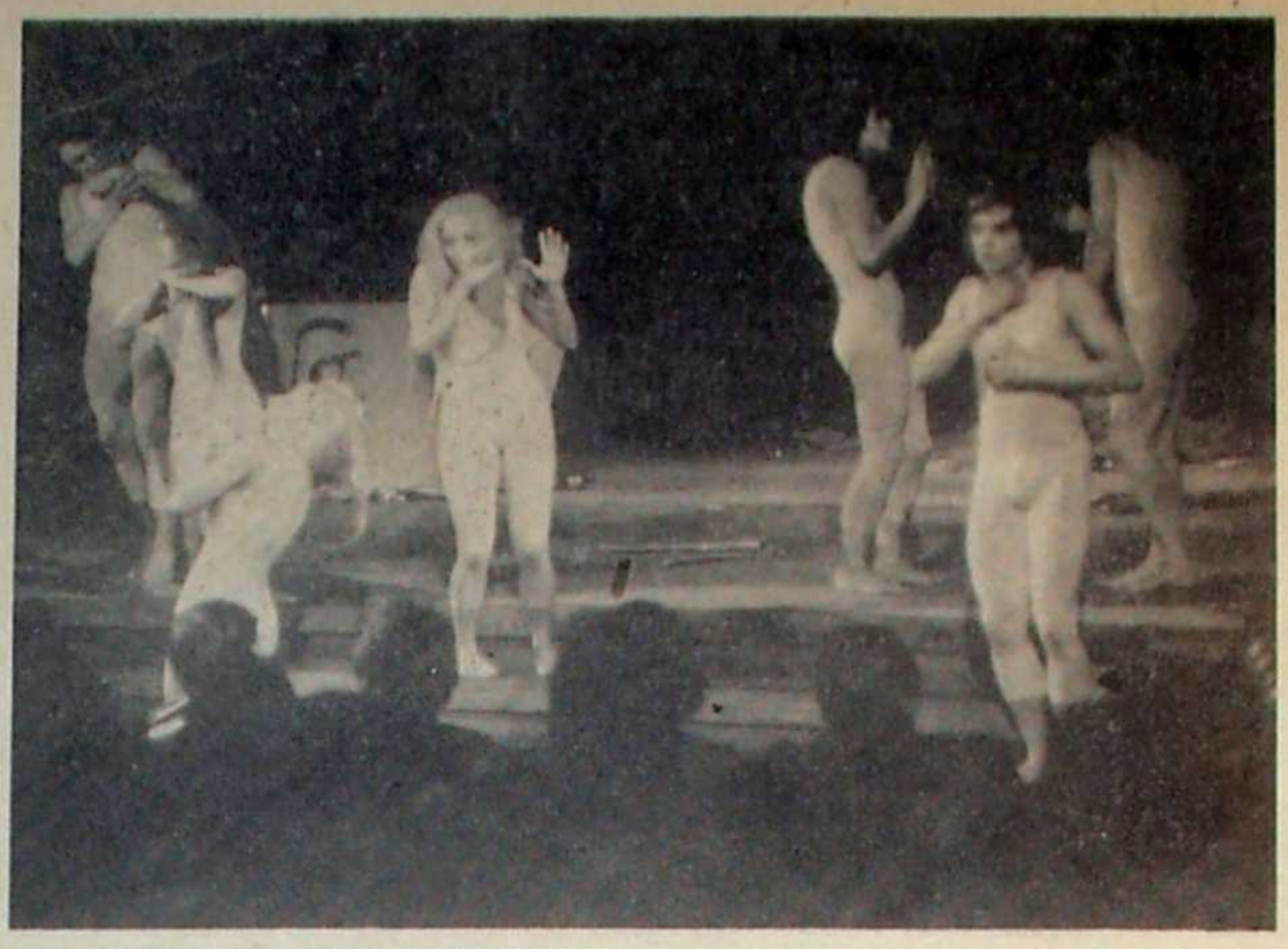

Grupa pantomimiczna „Domino": „Historia de natura". Fot. K. Helebrandt

Co dalej?

Maria Bechczyc-Rudnicka

DRUGI Międzynarodowy Festiwal Festiwali Teatrów Studenckich we Wrocławiu odbywał się pod hasłem „Teatr studencki głosem postępu". Zmodyfikowane na użytek festiwalu trzeciego zabrzmiało ono w tym roku: „Młody teatr głosem postępu", znaczna bowiem część zespołów uczestniczących w imprezie to grupy semizawodowe, przybyłe przeważnie z Zachodu, gdzie istnieje podział na teatr establishmentu i teatr niezależny. Dokonano zatem korekty najzupełniej słusznej. A już arcysłuszne było wydrukowanie, w starannie opracowanej broszurze festiwalowej, wprowadzającej do dyskusji wypowiedzi dyrektora biura organizacyjnego, Bogusława Litwińca, który komentuje zasadniczy człon wymienionego hasła, ów GŁOS POSTĘPU. Piękna dewiza MFFTS, jednoznaczna i naturalna w r. 1969, o dwa lata bliżej okresu, kiedy zespoły studenckie cechowała szczególna świeżość wyobraźni twórczej, oddziaływająca ożywczo na teatry zawodowe — istotnie zaczyna wymagać dzisiaj komentarza. Czas pracował coraz intensywniej na wymianę kanonów estetycznych, zadziałało sławetne prawo dwóch naczyń połączonych i w rezultacie nie brak obecnie, rzec można, „nowoczesnej" inwencji tudzież odwagi, ba! — zuchwalstwa niekiedy, zarówno teatrom zinstytucjonalizowanym, jak niezależnym. Wydaje się nawet, iż nadeszła chwila pewnych wspólnych im kłopotów.

Największych chyba nastręcza właśnie pojęcie postępu i wytyczenie drogi do niego. Co to jest w gruncie rzeczy teatr postępowy?

Bogusław Litwiniec, entuzjasta, znany teatrofilom z działalności w „Kalamburze", który mu zawdzięcza niejedno osiągnięcie artystyczne, próbuje sięgnąć do głębi problemu. Jego ogłoszona aktualnie profession de foi zawiera sporo ładnych sformułowań. Warto przytoczyć kilka z nich, są to przecie drogowskazy pozwalające dostrzec wyraźnie cel i sens trudu organizacyjnego tego rodzaju wielkich spotkań, do jakich należą wrocławskie MFFTS.

Punktem wyjścia B. Litwińca jest taka *wizja świata, która fakt istnienia człowieka widzi poprzez jego związek ze wspólnotą, a sposób bycia ludzkiego ucieleśnia w twórczym działaniu.* I oto dalsze ogniwa rozważań: *Postęp, jakim chcemy oświetlić drogę teatru, oznacza więc ruch powstały w wyniku działania obu organizmów związanych układem człowiek — społeczeństwo. Ruch pnący się ku doskonałości ich współżycia i czerpiący swą energię z potrzeb jednostek, jak i wymagań wspólnoty. Tedy pukanie jednostki do bram wolności może liczyć na sukces, o ile jest świadoma praw, które jej przysługują i które nią sterują zarazem.* Wreszcie, żeby nie pozostało wątpliwości: *...proces ciągłego wzbogacania, uaktualniania i doskonalenia programu władzy nad sobą obdarzamy imieniem postępu. Zamieściliśmy je w haśle festiwalu, aby dać wyraz naszym przekonaniom, że młody teatr jest zdolny oddać swe twórcze siły na porywy rozlicznych pożądań człowieka, kontrolowane jednak świadomością społecznego powołania i prawideł stąd wynikających, które musi on włączyć do swego pojmowania wolności.*

Podkreśliłam budzące we mnie niepokój „oddanie swych twórczych sił na porywy rozlicznych pożądań człowieka", które łatwo potrafi sprowadzić na manowce teatr młody czy niemłody (może zwłaszcza młody, kto wie?), albowiem doświadczenie nam mówi, że samokontrola nie zawsze dochodzi do głosu — nie zawsze też dochodziła i na omawianych festiwalach. Z tym jednym zastrzeżeniem, każdy człowiek dobrej woli powinien akceptować powyższe szerokie ujęcie pryncypiów. Skoro zaś „prawidłowości kierujące przebiegiem ruchu pnącego się ku doskonałości" mają, jak celnie stwierdza Litwiniec — naturę dialektyczną, wolno nam chyba stwierdzić, że hasło „MŁODY TEATR GŁOSEM POSTĘPU" nie zawiera w sobie chełpliwej oceny obecnego stanu rzeczy, będąc jedynie ze wszech miar słusznym postulatem.

Po tej konstatacji nasuwa się konsekwentnie pytanie, jakie stadium urzeczywistnienia osiągnął w obecnym momencie postulat proklamowany przez organizatorów III MFFTS?

Otóż zakładając, iż na płaszczyźnie ideologicznej istotnie zachodzi w „młodych" zespołach dialektyczny proces osiągania prawidłowości, nie dostrzegłam natomiast w prezentacjach tegorocznego festiwalu wyraźniejszego postępu formalnego. I tu jest naprawdę powód do niepokoju, boć w sztuce, jak wiadomo, forma to ciało idei. Biada, gdy zaczyna się starzeć.

Ale przejdźmy do konkretów.

W III Międzynarodowym Festiwalu Festiwali Teatrów Studenckich wzięły udział 22 zespoły: 5 polskich (lubelski „Gong 2", krakowski „STU", poznański „Teatr 8-go dnia", wrocławski „Kalambur", szczecińskie „Studio Pantomimy") i 17 zagranicznych z czternastu krajów (z Anglii, Brazylii, Bułgarii, Czechosłowacji, Francji, Hiszpanii, Holandii, Japonii, NRF, Rumunii, USA, Węgier, Włoch, ZSRR). W tym bodaj pięć półzawodowych.

Osobiście widziałam dziewiętnaście spektakli festiwalowych, czyli bez mała wszystkie zespoły, pozwala to, sądzę, na pewne wnioski. A więc powiem otwarcie: odnoszę wrażenie (jak zresztą niejeden krytyk — obserwator), że mimo rozmaitości koncepcji, ogólny poziom artystyczny tegorocznego MFFTS nie dorównywał jednak poziomowi festiwalu r. 1969.

Rada bym przypisać ten fakt przypadkowości składu uczestników. Nie przyjechało tym razem kilka bardzo interesujących zespołów: Théâtre Création z Lozanny, Centro Universitario Teatrale z Genui, Nouvelle Compagnie d'Avignon, Stichting Dans-Groep z Amsterdamu, angielska Travelling Company, a nade wszystko dała się odczuć nieobecność fenomenalnego Bread and Puppet Theatre z Nowego Jorku. Dlaczego nie przyjechały? Czy zobojętniały dla festiwalu? Czy dzieje się z nimi coś niedobrego? Kursuje pogłoska o rozpadzie ideowego, utalentowanego zespołu Bread and Puppet. Alarmujący to sygnał zagrożenia bytu zespołów nieskomercjalizowanych, np. w USA.

Nie chcę przecie powiedzieć, iż na tegorocznym MFFTS totalnie zabrakło wartościowych i ciekawych prezentacji, a nawet stwierdzam z zatysfakcją (i nie jest to zdanie odosobnione), że wśród najlepszych znalazły się prawie wszystkie przedstawienia polskie. Vox populi ocenia nader wysoko „W rytmie słońca", widowisko do poezji Urszuli Kozioł, opracowane dramaturgicznie i wyreżyserowane w „Kalamburze" przez B. Litwińca — wypowiedź ideowa na temat postaw „ścierających się w obliczu współczesnych doświadczeń". Do najcelniejszych należało też widowisko „Teatru 8-go dnia" pod tytułem „Jednym tchem", o formie prostej, lecz adekwatnej ważkości zmetaforyzowanych w nim tragicznych wydarzeń grudniowych. Albo też „Spadanie", spektakl krakowskiego „STU", dowcipny, dynamiczny, aktualny, może nawet — ultraaktualny, gdyż szydząc z bieżących oświadczeń sugeruje pewne horoskopy (tak czy inaczej, wolę, przyznam się, Różewicza bez dodatków, w czytaniu). O „Każdym" Gongu pisałam już dużo i pochlebnie.

Z zespołów zagranicznych wielki aplauz zyskał Tübinger Zimmertheater, którego kierownikiem jest energiczny i utalentowany Salvatore Poddine, emigrant z Sardynii, zawodowy reżyser i choreograf. W ciągu swej kilkunastoletniej działalności Zimmertheater wystawiał m. in. sztuki Gombrowicza, Pintera, Dürrenmatta, Arrabala. Na festiwalu wrocławskim pokazał „Balladę o Wielkiej Makabrze" Ghelderode, sięgając programowo „po wszelkie możliwe środki ekspresji scenicznej". Widowisko trzyczęściowe odbyło się kolejno w trzech różnych pomieszczeniach, do których publiczność wędrowała za aktorami. Pierwsze dwie części rozegrano w stylu zbliżonym do konwencji commedii dell'arte, ostatnią — w manierze dość szablonowych satyr politycznych, ale w sumie przedstawienie tübingenczyków cechowała wybitna dojrzałość artystyczna.

Do czołówki zespołów zagranicznych wysunęła się też dzięki artyzmowi budapeszteńska grupa pantomimiczna „Domino", prowadząca Laboratorium Pantomimy. Aktorzy węgierscy, od dwóch lat profesjonaliści, pokazali inscenizację, którą inspirowała „Historia de natura" Hieronima Bosha. Skojarzenie wydało mi się raczej luźne, niemniej koncepcja widowiska, mocno nasycona erotyzmem (cum figuris!), sama w sobie była konsekwentna.

Na pochwały niewątpliwie zasługuje spektakl niezależnego Caravan Theatre (USA-Cambridge, Massachusetts) pt. „Jak stworzyć kobietę". Grupa podejmująca systematycznie problematykę społeczną posługuje się w zademonstrowanej satyrze zręcznie symbolami, m. in. świetlnymi (funkcjonalna projekcja sieci). Dwie aktorki zespołu, obdarzone nieprzeciętnym darem komicznym, wykazały się doskonałą mimiką i gestem.

Powodzenie miała również uprawiająca gatunek „teatru faktu" brytyjska Art College Theatre Group, która wystąpiła na festiwalu z kreacją zbiorową „James Harold Wilson zatapia pisarkę", podobał się jeszcze jeden Ghelderode („Hop, signore") w interpretacji praskiego teatru lalki i aktora, Vedene Dvořák. Widowisko znowuż à la commedia dell'arte, w którym sami wykonawcy, studenci katedry lalkarskiej wydziału teatralnego akademii sztuk pięknych, byli żywymi lalkami. Z sympatią przyjęto poza tym radziecki zespół Maneżu, działający przy politechnice w dalekim Czelabińsku. Z trzech wykonanych utworów literackich najwymowniej wypadła gorzka metafora pt. „Wrona", obrazująca tragiczny los jednostki ściganej za konkonformizm. Relaksu dostarczył występ japońskiego Neo-Kyogen, pełen humoru łączonego pomysłowo z tradycyjnym dostojeństwem.

Za późno dla mnie przybył hiszpański zespół Els Joglars i międzynarodowy Kiss. Może okazały się frapujące.

Niestety, znalazło się skądinąd w programie kilka pozycji przez oczywiste nieporozumienie: jak np. patetyczny superkicz „Aurora" francuskiego zespołu Chêne Noir, jak monodram brazylijski, wykonany przez niewątpliwie zdolną i uroczą studentkę, której sztuka zginęła dla nas w powodzi niezrozumiałych słów, jak wreszcie — hałaśliwa kreacja zbiorowa (rzekomo happening) pt. „Trawa", zademonstrowana przez niedojrzały jeszcze, artystycznie angielski zespół studencki Grass Roots, usiłujący odwrócić uwagę widza od swych braków nadużyciem big-beatu, profuzją kolorowych przeźroczy i... frymuśnie zamalowaną golizną.

Gdy już jesteśmy przy goliźnie, najwyższy czas odnotować główną sensację festiwalu: występy nowojorskiej Performance Group, jednego ze znanych zespołów Off-Broadway, pod kierunkiem Rycharda Schechnera. Zespół ten wystąpił z improwizowanym Koncertem na głosy ludzkie (wykonanym kunsztownie), który przypadłby do gustu miłośnikom najbardziej ekscentrycznych propozycji Warszawskiej Jesieni, oraz z widowiskiem „Commune", nawiązującym do zbrodni Mansona, wojny wietnamskiej, słowem do tematów, jakimi chętnie posługuje się teatr okrucieństwa. Wykonanie cechowała frenezja, znana z teatru Grotowskiego. Nowością (u nas w Polsce) była totalna golizna dwóch aktorów. Zanurzali się oni od czasu do czasu „rytualnie" w wielkiej kadzi, napełnionej autentyczną wodą, bądź eksponowali ostentacyjnie swoją anatomię krążąc po sali. Powinno to było mieć głębszy sens, lecz było po prostu żenująco śmieszne.

W ogóle za dużo na festwalu epatowano nagością pod pretekstem „obnażania jaźni", niesmak też budził obsesyjny erotyzm, za natrętnie fraternizowano z widzami, zbyt podejrzana wydawała się „zbiorowa improwizacja", maskująca tu i ówdzie jałowość koncepcji.

W niektórych dobrych zespołach daje się zaobserwować regres (szczecińskie Studio Pantomimy — widowisko „Syn marnotrawny" przekraczało jego możliwości; zespół ASTU z Utrechtu, który przecenił w „Kolekcjonerach" wymowę natłoku rekwizytów; Centro Universitario Teatrale z Parmy, które podało żywe treści ideowe w drętwej formie).

Lektura towarzysząca festiwalowi naprowadziła mnie na godne bacznej uwagi zdanie Krzysztofa Mikiaszewskiego (v. „Student" z 1—15.X), że w sztuce właściwie nie ma postępu, są tylko przemiany i dokonania...

Jakie są przemiany w obecnym teatrze studenckim? Czym się różni jego dzisiaj od wczoraj? Gdzie są „odkrycia"?

A mimo wszystko chwała wrocławskiemu MFFTS i jego organizatorom! W momentach przełomowych konfrontacje i dyskusje są nieodzowne.

Tajemnica mieszkania przy ul. Chrobrego 4

Dokończenie ze str. 1

Udaję się do zastępcy kierownika Wydziału Spraw Lokalowych Prezydium MRN w Lublinie, Danuty Buczkowskiej. W osobnym gabinecik przyjmuje mnie kobieta młoda, przystojna, dobrze utrzymana, elegancka i — jak się przekonuję za chwilę — elokwentna. Pokazuję legitymację dziennikarską i pytam, czy znane są Wydziałowi przypadki niezasiedlania mieszkań oraz jakie mogą być przyczyny tego zjawiska, jeśli ono w ogóle istnieje?

— Czasem bywają takie przypadki, gdy idzie o mieszkania podlegające publicznej gospodarce lokalami. Zdarza się, iż ludzie nie chcą przyjmować przydzielonych mieszkań z ciemnymi kuchniami lub położonych na parterze. Niezasiedlenia mają też miejsce w spółdzielni, z tym że nie mogę się na ten temat wiążąco wypowiedzieć, przyczyny chyba takie same: ciemne kuchnie, parter — otrzymuję odpowiedź.

Pytam dalej:

— Czy może mi pani wyjaśnić powody niezasiedlenia lokalu przy ul. Bolesława Chrobrego 4 m 7?

— To ja tam mieszkam. Po pierwsze: mniej więcej od września 1970 roku do końca marca 1971 roku byłam chora, przechodziłam ciężką operację i gdy wyszłam ze szpitala, musiała się mną i dzieckiem opiekować moja matka, u której wtedy wszyscy przebywaliśmy.

— Przy ul. Chrobrego zostaliście państwo zameldowani 13 marca 1970 roku, czyli mieliście pół roku na zasiedlenie tego lokalu, zanim przyszła pani choroba.

— W mieszkaniu były usterki, ponadto chcieliśmy dodatkowo położyć glazurę. To wszystko zajęło sporo czasu: wymiana parkietu, glazura, malowanie... Mimo tego w ubiegłym roku przed wrześniem mieszkaliśmy przy ul. Chrobrego około miesiąca.

— A w tym roku po marcu znów mieliście państwo przeszło półroczny okres na ponowne zasiedlenie mieszkania.

— Toteż w tym roku jesteśmy tam bardzo często, meble już dawno wstawiliśmy. Tylko jak zrobi się późno, a my jeszcze znajdujemy się w mieście, wówczas nocujemy u mamy.

— Więc teraz częściej nocujecie we własnym mieszkaniu?

— Oczywiście, że tak.

Ta rozmowa odbyła się we wtorek, 26 X 1971 roku o godzinie 9.00. Owa data ma tutaj ważne znaczenie. Tego samego dnia o godzinie 8.30 zanotowałem stan znajdujących się na klatce schodowej liczników: zużycia prądu i gazu w mieszkaniu numer 7 przy ul. Bolesława Chrobrego 4. Prąd — 10,2 kwh, gaz — 1,039 m³. W identycznych mieszkaniach o takiej samej liczbie lokatorów, zameldowanych także w marcu 1970 roku, ludzie wypalili ponad 2000 kwh i ponad 1600 m³, co daje przeciętną miesięczną około 100 kwh i około 80 m³. Czyli że państwo Buczkowscy przez ten miesiąc w ubiegłym roku oraz w trakcie swoich częstych pobytów i noclegów w roku bieżącym siedzieli w mieszkaniu właściwie po ciemku i prawie w ogóle nie używali gazu. Kto chce, niech wierzy. Abstrahuję od faktu, że nikt nie dostrzegł, aby do tego mieszkania przywożono jakiekolwiek meble. Wprawdzie po mojej rozmowie z p. Danutą Buczkowską, zaraz nazajutrz wieczorem, oba liczniki ruszyły, zaś w mieszkaniu po raz pierwszy od bardzo długiego czasu zapaliło się światło (we wszystkich czterech pomieszczeniach), lecz — jako żywo — przez szeroko otwarte okno jednego z pokojów i przez odsłoniętą kotarę drugiego nie dostrzegłem mebli, a tylko pięknie pomalowane ściany. Może Buczkowscy mają niskie meble? Notabene ta iluminacja świetlna trwała tego dnia tylko do godziny 21.30, kiedy liczniki zatrzymały się na: 11,4 kwh i 1,243 m³, który to stan przetrwał dwa następne dni, po czym musiałem zabrać się do pisania niniejszego artykułu.

Wszystko, co opowiedziała mi o swych sprawach mieszkaniowych zastępczyni kierownika Wydziału Spraw Lokalowych i co przyjąłem bez zmrużenia oka, potwierdził potem telefonicznie jej mąż, główny lokator mieszkania przy ul. Chrobrego, pracujący ostatnio w Miejskim Zarządzie Budynków Mieszkalnych, a przedtem w Przedsiębiorstwie Robót Instalacyjno-Montażowych Budownictwa Rolniczego — na kierowniczych stanowiskach w zaopatrzeniu. Nie miałem zresztą zamiaru sterować małżonków ku jakimś sprzecznym stwierdzeniom, dałem czas na porozumienie się, lojalnie uprzedzając żonę, iż będę pytał męża. Odparła:

— Wydaje mi się, że nie ma sensu. Skoro jesteśmy małżeństwem... A co pan w ogóle chce z tym zrobić?

— Po prostu doszła do mnie taka informacja, a skoro piszę na tematy mieszkaniowe, więc powinienem ją sprawdzić u bezpośrednio zainteresowanych.

Nazajutrz udałem się do Zarządu LSM-u, jako że tego samego dnia wiceprezes zajmujący się kwestiami członkowskimi był nieobecny, zaś prezes absolutnie nie miał czasu dla dziennikarza:

— Dziś wyjeżdżam na konferencję, jutro konferencja, konferencja u wojewody pojutrze, w przyszłym tygodniu będę wolniejszy...

Rozmawiałem przeto z wiceprezesem Tadeuszem Iżyckim:

— Panie prezesie, § 18 punkt 2 ramowego statutu spółdzielczości mieszkaniowej brzmi: „Członek spółdzielni powinien objąć przydzielony mu lokal przed upływem 30 dni od daty otrzymania zawiadomienia o postawieniu lokalu do jego dyspozycji. Nieobjęcie przydzielonego lokalu w tym terminie powoduje wygaśnięcie spółdzielczego prawa do lokalu. Zarząd w uzasadnionych przypadkach, na wniosek zainteresowanego członka złożony w terminie 21 dni od daty otrzymania zawiadomienia o postawieniu lokalu do dyspozycji, może przesunąć termin objęcia lokalu". Co oznacza w tym przypadku: „objęcie" (lub „nieobjęcie") lokalu?

— Znaczy to: zameldowanie osób, które są zgłoszone we wniosku, i pobranie kluczy od lokalu.

Kamena str. 8

Starsza pani w czerni

Wiesław Horabik

Aleją Róż zacząłem chodzić wcześnie. Już kiedy byłem w Szkole Hotelarsko-Gastronomicznej, wypadła mi tamtędy droga, a potem, kiedy podjąłem pracę, także tamtędy było mi najbliżej.

Wcześnie nauczyłem się cenić tę małą uliczkę, wciśniętą między dwie wielkie ulice miasta, i prawie zawsze, kiedy miałem wolny dzień, chodziłem tam, żeby przespacerować się w odurzającym zapachu liści i kwiatów, które po deszczu pachniały jeszcze bardziej intensywnie. Była to bezwzględnie dobra ulica, gdzie ulewa nie płoszyła ludzi i nawet jesień i zima, i wczesne przedwiośnie wyglądało kolorowo. A może tylko mnie się tak wydawało.

Na rogu, na styku z Alejami Wojska Polskiego, znajdowała się „Alfa", mała kawiarenka z podestem, gdzie na wiosnę, gdy już zrobiło się naprawdę ciepło, wynosiliśmy stoliki i rozpinaliśmy kolorowopasiaste parasole.

Nasza kawiarnia była mała i może dlatego zawsze mieliśmy dużo gości. Możecie ją odwiedzić, jeśli będziecie w tej okolicy, w godzinach między dziesiątą rano i dwudziestą drugą. Pracuję tu już od pięciu lat i zdążyłem ją polubić, a jeśli nie, to przyzwyczaić się do niej, chociaż to zasadnicza różnica.

Przyszedłem do pracy w piątek, przed pięciu laty, na początku maja i wszystko było dla mnie nowe i zaskakujące. Była to moja pierwsza samodzielna praca, nie licząc pewnego okresu praktyki, którą odbyłem w dużym, „orbisowskim" hotelu, bo nasza szkoła uchodziła za bardzo dobrą.

Maj tego roku był ciepły od samego początku i drzewa i trawa szybko się zazieleniły, bo na początku kwietnia przyszły niemal letnie upały, a potem spadły obfite deszcze, tak że ziemia miała pod dostatkiem wody. Ogrody przed niskimi, willowymi domkami w Alei Róż zrobiły się kolorowe, a my wynieśliśmy stoliki, rozpięliśmy parasole i wnętrze kawiarni stało się puste i nienaturalnie przestronne, dopóki wieczorny chłód nie przypędził ludzi z powrotem do wnętrza.

Zaraz następnego dnia, w sobotę, kiedy wciąż jeszcze byłem podniecony nową pracą, zwróciłem uwagę na starszą panią ubraną w czarny kostium i czarny staroświecki kapelusz, dziwnie wybrzuszony i śmieszny. Była piąta godzina po południu, dla nas pusta godzina, bo umiejscowiona gdzieś pośrodku ludzkiego rozkładu dziennych zajęć.

Zwróciłem na nią uwagę zaraz kiedy weszła, chociaż w swojej pracy spotykam wielu dziwnych ludzi. Chodziła z dystynkcją, która wydała mi się nienaturalna. Jej czarny strój był z pewnością za ciepły, jak na taką pogodę; smutne, duże, okrągłe oczy patrzyły z sympatią. Usiadła przy stoliku w rogu, chociaż większość ludzi siedziała przed kawiarnią, przy metalowych stolikach, na „wybiegu" okolonym drabinką, którą porastał bluszcz. Nie zdjęła kapelusza i było w niej coś takiego, że stałem obok barku i wpatrywałem się w nią bez ruchu, a za oknem kłębił się kurz i spaliny, i upał. Nie patrzyła na mnie i miałem wrażenie, że jest zafascynowana kimś, kto jej towarzyszył, chociaż nikt jej nie towarzyszył. Nic nie mówiła, tylko jej pomarszczona, blada twarz zmieniała bezustannie wyraz, a jej szczupłe dłonie poplamione brązowymi punktami poruszały się po stoliku. Dopiero kiedy wyjęła z małej czarnej torebki papierosy i zapaliła, poszedłem do kuchni, żeby opowiedzieć o tym Benkowi, z którym zaprzyjaźniłem się zaraz po przyjściu do pracy.

— Znam ją — odpowiedział. — Przychodzi tu już od bardzo dawna, najmniej od dziesięciu lat, siada zawsze tam, jeśli jest miejsce, i zamawia dwie duże kawy, z których jedną zostawia nie ruszoną. Nic bliżej o niej nie wiem.

Benek był u nas straszym kelnerem i pracował w „Alfie" już bardzo długo, zdaje się, że od samego początku.

— Pewnie czeka na kogoś — powiedziałem. — Jest uparta i wciąż liczy, że ten ktoś w końcu przyjdzie.

— Może — odparł Benek, — ale ja myślę, że ona przychodzi tu z kimś, tylko my go nie widzimy, jest bardzo stara i tak jej się wydaje, a od jednego faceta słyszałem, że tak może być.

— Może jest stara i samotna.

— Tak czy inaczej obsłuż ją dobrze, bo to dziś na ciebie kolej.

Uśmiechnął się.

— Dlaczego? — zapytałem — To nie mój kąt.

— Tak zawsze było. Nie ma co gadać, stary.

— Do diabła z tym, co było — odparłem.

— W niej coś jest — powiedział Benek.

— No dobra. Coś w niej jest — zgodziłem się.

Zaniosłem kawę i butelkę „Żywca" grubawemu facetowi w sztruksowej marynarce i wąskich obcisłych spodniach, który mi wyglądał na pederastę. Idąc przez salę, starałem się nie patrzeć w jej stronę, chociaż mimowolnie dostrzegłem, jak zamachała na mnie ręką, żebym podszedł.

Wracając, nie wiem czemu poczułem ogarniającą mnie złość. Byłem zły, bo coś w niej było, i była stara, i samotna, i wydawało jej się, że ktoś obok niej siedzi, a nie było tam nikogo. Nie wiem czemu mnie to zdenerwowało. Było to coś nieokreślonego i do dziś nie wiem, dlaczego tak zareagowałem.

— Dwie duże kawy, proszę — powiedziała — ze śmietanką — a ja stałem nad nią wpatrując się w jej ręce pokryte brązowymi plamami, aż cofnęła je i położyła równo na kolanach. Przyjąłem zamówienie nic nie mówiąc, chociaż wiedziałem, że ma ochotę na pogawędkę, bo widziała mnie tu pierwszy raz. Już się nie denerwowałem. Kiedy następny raz zajrzałem do sali, w jakieś dwadzieścia minut potem — jej nie było Pieniądze leżały na stole. Zabrałem nietkniętą kawę do kuchni. Pozostał po tej pani subtelny zapach perfum i kobiecej pedanterii i jedyny w swoim rodzaju zapach, który pozostaje po ludziach niezwykłych. Potem szybko się zaprzyjaźniliśmy, kiedy przychodziła do nas. Rozmawialiśmy ze sobą w szczególny sposób, ale nigdy nie odważyłem się jej zapytać, jak to było z tą kawą, chociaż dużo o tym myślałem.

Michał przyszedł do nas w marcu, w trzy lata po mnie. Pogoda była rozchlapana, na chodniku leżały pryzmy brudnego śniegu, a rynsztokami płynęła mętna woda wlewając się z turkotem do ścieków. Drzewa były smutne jak jesienią, dni mokre i przygnębiające. Michał był wysokim chłopcem z cukierkowatą twarzą uporządnionego idola i niebieskimi oczyma, i wiem, że kobiety go lubiły. Nie powiem, żeby mi się podobał, kiedy go zobaczyłem pierwszy raz, chociaż nie miałem nic przeciwko niemu. Siedziałem właśnie przy służbowym stoliku robiąc obliczenia, kiedy wszedł.

— Cześć — powiedział i wyciągnął w moją stronę szczupłą, prawie kobiecą dłoń.

— Cześć — odparłem, nie wiedząc, o co chodzi.

— Gdzie szef? — zapytał.

— A co jest?

— Mam tu robić.

Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki skierowanie. Był dobrze ubrany.

— Ano, chodź ze mną — powiedziałem.

Zaprowadziłem go do kierownika. Wieczorem zaprosił nas na małą kolację i trochę wypiliśmy.

W sobotę przyszła starsza pani w czerni.

Drobny deszcz siąpił od samego rana i tylko niewielu ludzi chodziło ulicami. Siedziałem przy barku i uśmiechnęła się do mnie, kiedy weszła. Na głowie miała ten sam dziwaczny kapelusz i jeszcze przedtem przez zamazaną szybę widziałem ją, jak wchodziła z ulicy do kawiarni. Michał kręcił się koło kuchni i wiedziałem, że teraz jego kolej i że Benek mu o tym powie. Wszystko odbyło się tak, jak ze mną, chociaż to o niczym nie decyduje.

Byliśmy z Benkiem w kuchni. Michał obsłużył ją i za kilkanaście minut wyszedł na salę. Wbiegliśmy, kiedy rozległ się krzyk. Starsza pani zabierała się pospiesznie do odejścia i wyglądało to trochę zabawnie, ale była bardzo zdenerwowana, bo drżały jej ręce. Mogłem to wyraźnie zauważyć. Michał stał obok stolika i coś wykrzykiwał, a wszyscy pozostali klienci patrzyli w tę stronę. Kiedy podbiegliśmy, starsza pani była już przy drzwiach, a potem mignęła mi tylko przez szybę jej skulona sylwetka z wielkim parasolem.

— Cholera — mówił Michał. — Co będę z tym robić? Zamawia, psiakrew, a potem zostawia.

— Zapłaciła ci za to, nie? — powiedział Benek.

— Zapłaciła, psiakrew. I jeszcze takie głupie gadki. Wariata ze mnie robi. Po ki cholerę zamawia, jak przychodzi tu sama. Struga z nas idiotów i wydaje jej się to cholernie zabawne. Rozsiada się tu jak indyczka.

Zupełnie go nie rozumiałem.

— No, dobra — powiedział Benek — Chodź no ze mną.

Przeszliśmy do naszego pokoju.

Odtąd nie przychodziła już do nas i chodząc czasami Aleją Róż w odurzającym zapachu kwiatów i zgniłym zapachu butwiejących łodyg, myślałem, co się jej przydarzyło, tak samo jak przedtem myślałem, dla kogo zamawiała kawę i z kim rozmawiała twarzą, w chwili, gdy nikogo nie było obok niej. Michał już u nas nie pracował.

Strach

Marian Pilot

Pod wieczór wybraliśmy się z matką na cmentarz. Klęknęliśmy u grobu dziadków, potem szliśmy wolno ciemniejącymi alejkami. Pod stopami szeleściły cicho jesienne liście, mijaliśmy zarzucone butwiejącymi wieńcami mogiłki, matka niegłośno opowiadała o tych, którzy pomarli za czas mojej tu niebytności.

Zatrzymałem się jednej chwili. Na licu postawionego widać niedawno, jasnego jeszcze drewnianego krzyża blaszana tabliczka, a na niej niezgrabnymi literami starannie wypisane imiona dwu kobiet, matki i córki.

— Ulka kazała się tak pochować — powiedziała matka.

Ta rodzina — śmierć sama. Grób Ulki ojca też na tym cmentarzu, na samobójczej kwaterze. Był robotnik wytrwały i pokorny ten chłop; a życie było mu jedną zgryzotą.

Miał kobietę ciemną i zabobonną z samej jakby natury. Wszędzie widziała znak złowróżbny. Omamiona przez tajne moce, długo ważyła, nim postąpiła gdziekolwiek o krok. Lata, jak zaszyła się w chałupie; tkwiła tam jak nietoperzyca w ciemnym kącie. Głodny, obdarty, zahukany, pośmiewisko, troskał się Rusinek o nią, potem o dziecko jeszcze, tę Ulkę. Kiedy znękanego, starego opuszczać poczęły siły i wszelka nadzieja (córka rosła na podobieństwo matki cała), powiesił się jednego dnia w lesie, w dalekim zakątku.

Kołtuniasta Rusinka, jej do reszty przez nią zakabalona dziewczyna Ulka, same zostały w chałupie, w nędzy, w smrodzie. Umarła niedługo nie od choroby, z głodu zwyczajnie. Gospodarkę objęli sąsiedzi, opiekować się mieli za to sierotą. Ludzie nieźli, załamali nad nią ręce. Była Ulka chudzinka zastrachana i dzika, we wszach i skrofułach; pokazało się niedługo, że suchoty miała także. Podtykali jej opiekunowie jedzenie, wołali lekarzy; powieźli nawet do szpitala, ale odesłano ją stamtąd prędko: to był znak, że nie życie jej wróżone. Sama to wiedziała albo przeczuwała. Bronić się chciała; skulona na łóżku, zaklinała nieznane moce; widziało się przecież, bez skutku. Wtedy ogarnął ją strach. Nie sypiała całymi nocami, odżegnując się rozpaczliwie i machinalnie, mamrocząc tajemne słowa. Zapadała w drętwotę, zrywała się po jakimś czasie, nieludzkim głosem wzywała ratunku, litości. Gospodarze wołali pogotowie, przyjeżdżał raz i drugi karetką lekarz z zastrzykami. Leżała potem ubita, na wychudłej twarzy wyłupione oczy, jarzące się strasznie. Zagadnięta, milczy, szepnie czasem: boję się.

Przez wiele tygodni półżywa, odrętwiała z trwogi. Ozwała się samą jednego dnia, był to mamrot niezrozumiały dla nikogo. Ale musiały to być te słowa, które jedne odtąd bez ustanku mówiła. Żeby to pochowano mnie gdzie matka. Z matką chciałabym być pochowana. Nie musiałabym bać się wtedy.

Ustami szła jej krew, znowu przyjeżdżali doktorzy ze słuchawkami i strzykawkami, trzęśli głowami. Dawno miała umrzeć suchotnica. Że nie umierała, był cud.

Gospodarze poszli po księdza. Przyszedł do chałupy i obiecał Ulce; pochowana będzie, jak pragnie, trumna z jej truchłem spocznie na trumnie matki.

Pogodzona, cicha, rada, spowiadała się długo z grzechów całego życia; ksiądz udzielił jej ostatniego namaszczenia.

— Jakby ksiądz nie poszedł jej na rękę — powiedziała matka — to żyłaby i żyła, może do dziś dnia. Ale tak już ludziom swoim strachem i zabobonem nadojadła, że błagali księdza i błagali, aż ubłagali...

Kiedy do rozbiórki, kiedy do mieszkania

Dlaczego obywatele nie mogą

— Czy zdarza się, że ktoś dopełni tych formalności, lecz nie mieszka we własnym lokalu, i to długi czas?

— Wypadki takie są nadzwyczaj rzadkie, nie stanowią dla spółdzielni żadnego problemu. Ostatnio pamiętam jeden taki: lokatorka mieszka permanentnie w sanatorium, ale to zrozumiałe, mieszkanie musi na nią czekać. Najczęściej ludzie nie wprowadzają się do swych mieszkań najwyżej przez miesiąc, dwa, nigdy dłużej. Porządkują lokal, czasem dodatkowo go wyposażają w szafy, glazurę. I to też jest zrozumiałe.

— Co oznacza termin „zasiedlenie" lokalu?

— Fizyczne wprowadzenie się doń.

— Czy spółdzielnia jakoś to kontroluje?

— Powtarzam: właściwie nie mamy takich problemów. Nie jesteśmy też w stanie ani nie jesteśmy powołani, żeby chodzić i sprawdzać, czy ludzie fizycznie wprowadzają się do swych mieszkań, w dodatku przez dłuższy czas. Kto by zresztą nie zasiedlał lokalu, skoro istnieje taki głód mieszkaniowy!

— Gdyby wszak zdarzyły się takie przypadki, to czy istnieją tu jakieś sankcje?

— W statucie spółdzielni zasadniczo nie istnieją, aczkolwiek jeśli lokator ma przeprowadzić się z mieszkania podlegającego publicznej gospodarce lokalami do mieszkania spółdzielczego, które otrzymał, ale którego długo nie zasiedla, wówczas ma prawo wkroczyć Wydział Spraw Lokalowych Prezydium MRN i dokonać przymusowej eksmisji właśnie do mieszkania spółdzielczego. Byłby to dziwny przypadek, kiedy kogoś eksmituje się do jego własnego mieszkania.

— Czy spółdzielni znany jest fakt niezasiedlenia lokalu przy ul. Bolesława Chrobrego 4 m 7?

— Absolutnie nie. Jeśli idzie o ten lokal, to od strony dokumentacji wszystko jest w najlepszym porządku. Lokatorzy regularnie płacą czynsz w wysokości 485 zł miesięcznie, wszystkie formalności zostały dopełnione, mieszkanie objęte, spółdzielnia nie ma żadnych powodów do niepokoju w tym przypadku.

Dnia 31 XII 1968 roku Wydział Spraw Lokalowych przy Prezydium MRN w Lublinie wystosował do Lecha Buczkowskiego, którego żona była już wówczas długoletnim pracownikiem tegoż Wydziału, pismo, gdzie m. in. czytamy: „Komisja do Spraw Koordynacji Rozdziału Mieszkań skierowała Obywatela do przydziału mieszkania w ramach rezerwy pozostającej w dyspozycji tutejszego Prezydium w roku 1968 w Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej" (podpisano: Kierownik Wydziału Spraw Lokalowych Prezydium MRN w Lublinie, Zbigniew Markuszewski). Na piśmie tym jest odręczna adnotacja pracownika LSM-u: „Wniosek i deklarację pobrała p. Buczkowska dnia 13 I 1968", co jest ewidentną pomyłką, jeśli idzie o rok, powino być: 13 I 1969. Ale ten drobiazg łatwo wyjaśnić, skoro data złożenia wniosku i deklaracji opiewa na początek 1969 roku. Decyzja o przyjęciu Buczkowskiego w poczet członków spółdzielni nosi datę: 15 IV 1969 rok. „Data zamieszkania i data zapisania do rejestru", czyli „karty rejestru mieszkańców" w referacie ewidencji Prezydium MRN w Lublinie — 13 III 1970 rok.

Więc od chwili pobrania przez Buczkowskich wniosku i deklaracji do momentu uzyskania spółdzielczego lokalu minęło niewiele ponad rok. W naszych warunkach to tempo iście piorunujące. Nic dziwnego jednak, skoro lokal przyznano z tzw. puli pięcioprocentowej, o czym decyduje nie spółdzielnia przecież, lecz Wydział Spraw Lokalowych Prezydium MRN. O ile wiem, to ta mityczna pula przeznaczona jest m. in. dla osób, które straciły mieszkanie na skutek klęski żywiołowej, ludzi zajmujących pomieszczenia, zagrażające ich życiu (np. możliwość zawalenia), osób szczególnie niezbędnych dla miasta, słowem — dla kogoś, kto wyjątkowo szybko musi otrzymać mieszkanie.

Lech Buczkowski mieszkał poprzednio przy ul. Buczka 47 a m 5 wraz ze swymi rodzicami w lokalu o powierzchni 50 m² (pokój z kuchnią). Obecnie zameldowani są tu jego rodzice. Jak dotąd — wszystko w porządku. Danuta Buczkowska mieszkała (i przebywa nadal wraz z mężem i dzieckiem) przy ul. Marchlewskiego 17 m 14, gdzie obecnie zameldowani są tylko jej rodzice. To mieszkanie liczy trzy pokoje z kuchnią o łącznej powierzchni 54 m² (jest też łazienka i oczywiście korytarz). Oba lokale podlegają publicznej gospodarce mieszkaniami. Tak wyglądają szczególnie pilne potrzeby mieszkaniowe małżeństwa Buczkowskich.

Żeby nie było nieporozumień — jest kwestią absolutnie naturalną, iż młode małżeństwo pragnie uzyskać samodzielne mieszkanie, aby uniezależnić się od teściów czy rodziców, i jest naturalne, że o takie mieszkanie młode małżeństwo występuje. Rozumiem też, choć to z pewnością sprzeczne z jakimś przepisem, że ludzie meldują różne „martwe dusze" (zjawisko, o którym wszyscy wiedzą, ale nikt zbyt głośno nie mówi), żeby uzyskać dodatkową powierzchnię. Normatywy powierzchniowe są bowiem w naszym kraju bodaj najniższe w obozie socjalistycznym. Zresztą Buczkowskiemu dodatkową powierzchnię przyznano na podstawie orzeczenia komisji lekarskiej przy Wydziale Zdrowia Prezydium WRN w Lublinie. Lecz jeśli się rozważy wszystkie składniki tej historii, to — mówiąc po ludzku — zostaje tu w każdym razie wielki niesmak i jakaś społeczna poruta. Gdy komuś mieszkanie potrzebne, a w nim jeszcze dodatkowa powierzchnia, przyznana „ze względu na stan zdrowia" głównego lokatora, to się na proste wyrko sprowadzi, a potem będzie meble kompletował. Sam do tej pory nie mogę sobie pozwolić na regał w pokoju, tak że książki leżą częściowo na oknie i wstyd mi przed sąsiadami. Ale gdy dostałem mieszkanie, tośmy po kilku dniach już w nim nocowali, na razie meble z kawalerki musiały wystarczyć.

Nie jestem kompetentny w rozstrzyganiu takich spraw, jak opisana, jeśli ją w ogóle trzeba rozstrzygać. Przypomniał mi się tylko § 27 statutu spółdzielczości mieszkaniowej: „Członek spółdzielni nie wykonujący obowiązków statutowych z przyczyn przez niego nie zawinionych, jak np. wskutek zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych poza spółdzielnią (...), może być pozbawiony członkostwa przez wykreślenie z rejestru członków." Gdyby mi ktoś zechciał dokładnie wyjaśnić sens tego paragrafu?... Bo sens całej historii dosyć jasno się wykłada. Zaś groteskowość tej sytuacji tkwi jeszcze w tym, że Danuta Buczkowska, jako zastępca kierownika Wydziału Spraw Lokalowych, ma prawo zarządzić eksmisję własnego męża i siebie samej do ich spółdzielczego mieszkania.

Maciej Podgórski

Kamena str. 9

35-lecie plastyki lubelskiej

Co jest, a czego nie ma

6 sierpnia 1936 roku powstał w Lublinie Związek Artystów Plastyków, którego pierwszym prezesem wybrano Władysława Filipiaka. Data ta wyznacza początek zorganizowanego życia artystycznego w województwie, rozwijanego w latach powojennych przez Okręg Lubelski ZPAP. Obchody 30-lecia Związku (1966) były okazją do zbilansowania całokształtu działalności plastycznej na Lubelszczyźnie, w czym i pewien udział „Kameny". Nie chcąc zatem powracać do faktów, znanych i skomentowanych, publikujemy wywiad z prezesem ZPAP, Edwardem Nadulskim, w którym zarysowana została istotna problematyka życia plastycznego Lubelszczyzny w ostatnim pięcioleciu.

— Czy zechciałby pan wyodrębnić zasadnicze kierunki działalności Związku w ostatnich latach?

— Można mówić o dwóch takich kierunkach. Pierwszy prowadził do stwarzania coraz lepszych warunków dla uprawiania twórczości przez członków ZPAP, drugi zaś — do organizacji wystaw. Jeśli chodzi o tę ostatnią sprawę, to chciałbym wymienić ogólnopolskie wystawy „Przeciw wojnie", „Eksperyment 66" „Czterech Województw" — jako imprezy o sporym znaczeniu, nie tylko dla naszego środowiska; szczególnie wysoką rangę artystyczną i społeczno-polityczną posiadała już trzecia wystawa „Przeciw wojnie", w 1969 r., której fragmenty są obecnie eksponowane w Związku Radzieckim i Czechosłowacji.

Ponadto lubelskie wystawy okręgowe gościły w Warszawie, Trójmieście, Opolu i Zielonej Górze, a kilku malarzy — Kołodziejek, Lis, Nadulski, Ziemski — eksponowało swe prace w innych miastach wojewódzkich; mam w tym wypadku na myśli wystawy indywidualne, bo w pozalubelskich imprezach plastycznych, w ogólnopolskich wystawach i plenerach, uczestniczyła znacznie większa liczba osób. Poważnym sukcesem Stanisława Strzyżyńskiego i Juliusza Kleczka zakończył się konkurs na pomnik na Majdanku; otrzymali oni II nagrodę, pierwszej nie przyznano.

Od dłuższego też czasu obserwuje się znaczną aktywność grafików lubelskich, organizujących konkursy na grafikę i plakat miesiąca. Zofia Kopel-Szulc brała udział w Międzynarodowym Biennale Grafiki w Krakowie, a niedawno miała wystawę indywidualną w warszawskiej „Kordegardzie". W ubiegłym i bieżącym roku kilku kolegów obchodziło jubileusz działalności twórczej, wśród nich dwaj artyści szczególnie zasłużeni dla plastyki lubelskiej: Władysław Filipiak i Zenon Kononowicz.

— Tyle głosi statystyka, niewątpliwie kryjąca fakty ważne i cenne. W niektórych przecież przypadkach, mam tu na myśli wystawy ogólnopolskie w Lublinie, można mieć zastrzeżenia co do strony organizacyjnej tych imprez...

— Potknięcia, których nie tuszujemy, wynikają z braku odpowiednich możliwości technicznych, z braku środków materialnych. Drukarnia z reguły opóźnia druk katalogów, Biuro Wystaw Artystycznych nie zawsze stawało na wysokości zadania. Mimo życzliwości władz politycznych i administracyjnych, klimat wokół plastyki nie jest jeszcze najlepszy.

— Odnosi się przecież wrażenie, że pomysły wystawiennicze powstają w Lublinie jakby bez pełnej świadomości celów, a same imprezy oparte są na dość płynnych podstawach programowych.

— Programowanie w sztuce jest znacznie trudniejsze, niż w innych dziedzinach życia społecznego. Sprecyzowany program mógłby zawęzić możliwości twórcze poszczególnych artystów.

— Jaki zatem cel towarzyszył organizacji niedawnego pleneru malarskiego w Kazimierzu?

— Chodziło o stworzenie możliwości powstania dzieł plastycznych, związanych z tą miejscowością, o wydobycie — w sposób nowy — wartości tkwiących w niezwykle interesującej architekturze i położeniu Kazimierza.

— Czy cel ten został spełniony?

— Trudno powiedzieć.

— Czy więc może plener w Kazimierzu był m i e j s c e m konfrontacji myśli, poglądów etc.?

— W pewnym wymiarze tak.

— A plener zorganizowany przez cementownię w Chełmie, władze lokalne, Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej i lubelski ZPAP, czy taki plener nie powinien być szczególnie troskliwie zaprogramowany?

— Jestem przekonany, że sami uczestnicy pleneru, w trakcie pracy, stworzą program.

— Stworzenie programu i jego wartość zależą od wartości uczestników pleneru.

— Tak. Inicjatywę chełmską trzeba ocenić pozytywnie, choćby za próbę zbliżenia przemysłu do plastyki. Mieliśmy dotąd cztery plenery: w Puławach, Zwierzyńcu, Kazimierzu i Chełmie...

— Z tym, że pierwsze dwa ograniczały się, mimo zapowiedzi kontynuacji, do imprez jednorazowych, a o przyszłości dwóch następnych nic jeszcze nie możemy powiedzieć.

— Popełniamy jeden, ale poważny błąd, obiecując sobie zbyt wiele po tych inicjatywach, które podlegają różnym ciśnieniom zewnętrznym i kuleją często za sprawą doprawdy drobnych i trudnych do przewidzenia okoliczności, niezależnych od woli i wysiłków organizatorów. Osobiście uważam, że największy sens i szanse utrzymania się ma plener w Kazimierzu. Międzywojenna Mekka polskiego malarstwa powinna zresztą powrócić do dawnej świetności, więcej, powinna tę świetność przewyższyć. Natomiast plenery urządzane w zakładach produkcyjnych, choćby takie jak plener w puławskich „Azotach" w 1966 r. i obecny w Chełmie, należy przerzucać z zakładu do zakładu — aby aktywizować nowe środowiska, aby wzbudzać zainteresowanie sztuką wśród innych załóg.

— Akcentuje pan zatem funkcję społeczną plenerów.

— Tak, albowiem jest to jedna z najlepszych form zaatakowania świadomości estetycznej społeczeństwa.

— A interesy samej sztuki?

— Nie widzę potrzeby mnożenia plenerów, na Lubelszczyźnie wystarczą dwa. Wie pan dobrze, do jakich nieporozumień dochodzi na plenerach, nazwijmy je tak, powiatowych. Nie tak dawno temu widziałem „dorobek" takiej inicjatywy, przedstawiony publiczności pod postacią wystawy w jednym z miast powiatowych naszego województwa, i jestem przeciw takiemu zaspokajaniu lokalnych ambicji.

— Jak pan widzi miejsce lubelskiego środowiska plastycznego w krajowej hierarchii artystycznej?

— Jesteśmy podobni do wielu innych okręgów, zarówno pod względem poziomu artystycznego jak i warunków uprawiania twórczości.

— Jeśli można wtrącić: po Warszawie, Wrocławiu, Krakowie, Trójmieście, Łodzi i Poznaniu, tu gdzieś plasuje się chyba Lublin, choć potoczna opinia wyznacza nam miejsce mniej eksponowane.

— Związek nie ma środków na działalność orgnizacyjną i propagandową, tego typu działalność leży w gestii Biura Wystaw Artystycznych, które niestety, tak do niedawna gospodarowało, że nie starczało mu pieniędzy na sfinansowanie napisania wstępu do katalogu. Ta sytuacja powinna się zmienić.

— A pracownie? O ile pamiętam, to właśnie pan, pełniący w latach 1960—1964 funkcję kierownika Wydziału Kultury Prezydium WRN, spowodował pierwsze poważniejsze przydziały pracowni dla plastyków, uświadomił władzom, że pracownia jest warsztatem pracy artysty, a nie luksusem.

— Na 114 członków Związku przypada obecnie ok. 50 pracowni. Osiągnęliśmy minimum, szkoda jednak, że pod względem technicznym pomieszczenia te pozostawiają sporo do życzenia. Otrzymaliśmy je albo od rad narodowych, albo od Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, o której mamy jak najlepsze zdanie. W najbliższych pięciu latach przewidujemy potrzebę dalszych 20 pracowni; odpowiednie pismo złożyliśmy w Wydziale Kultury Prezydium WRN.

Fot. A. Polakowski

— Coraz liczniej osiedlają się w Lublinie absolwenci krajowych uczelni artystycznych nierzadko bardzo utalentowani. W jaki sposób Związek pomaga im w rozwiązywaniu spraw bytowych, często żałosnych?

— Kierując uwagę władz na konieczność rezerwacji owych 20 pracowni, mieliśmy na względzie właśnie potrzeby młodych artystów. Duże nadzieje wiążemy przy tym z lokalami, które otrzymają środowiska twórcze miasta po renowacji Starego Miasta; niejeden strych, po odpowiedniej adaptacji można by przeznaczyć na pracownię. Liczymy również na otrzymanie, wraz z SARP-em, budynku staromiejskiego, który pomieściłby biura Związku i salę wystawową. Projekty już są, środki także.

— Jak układa się współpraca ZPAP z Pracownią Sztuk Plastycznych?

— PSP jest monopolistą usług plastycznych, który jednak nie chroni w pełni plastyków, nie popularyzuje swojej działalności, uzyskiwanie zleceń zepchnęło na artystów, nie posiada własnego sprzętu technicznego i bazy zaopatrzeniowej.

— Jeśli jesteśmy po stronie cienia: co pan sądzi o albumie plastyki lubelskiej, „wydawanym" od lat dziesięciu i nie mogącym do dziś opuścić drukarni?

— Podobno ukaże się w najbliższych tygodniach. Publikacja, zainicjowana w 1961 r., tylko częściowo rozwiąże sprawę prezentacji naszego środowiska. Związek widzi potrzebę opublikowania przez Wydawnictwo Lubelskie i Wydział Kultury PWRN kilku albumów, poświęconych poszczególnym artystom, na wzór innych środowisk. To chyba wielkie przeoczenie, jeśli dotychczas nie ukazał się album np. Jana Karmańskiego? Pora też na opracowanie pełnej monografii lubelskiego środowiska plastycznego, które faktycznie posiada historię starszą od trzydziestopięcioletniej.

— Proszę przyjąć życzenia dalszego pomyślnego rozwoju lubelskiej sztuki, a raczej — rozwoju sztuki w Lublinie.

Rozmawiał

Ireneusz J. Kamiński

Wiszą dymy nad Chełmem

Dokończenie ze str. 3

cej się rocznicy: 10-lecia powstania tego przedziwnego organizmu społecznego.

— W związku z jubileuszem Rejowca trzeba rozpisać konkurs na herb miasta.

W zakładach cementowych, „wtopionych w chełmski krajobraz", pracują dziesiątki techników i inżynierów. Stowarzyszenie ich nie obchodzi. Miłośnicy Chełma starzeją się nie tylko biologicznie, lecz i społecznie, mimo że niewątpliwie — jest to prawda oczywista — życie kulturalne miasta i powiatu wiele im zawdzięcza. Wczoraj, dziś jeszcze. A jutro?

...Dwa dni temu: sytuacja rozwija się błyskawicznie, już Jerzy Grosman, komisarz pleneru, charakteryzuje jego cele i założenia. Czyni to zwięźle, bo przecież uczestnicy imprezy otrzymali wcześniej materiał powielony, w którym powiedziano wyraźnie, że *Związek Polskich Artystów Plastyków Okręgu Lubelskiego, SARP, Cementownia Chełm i Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej, dążąc do wzbogacenia miasta i osiedli o trwałe pomniki sztuki na miarę współczesnych dążeń ludzkich, postanawiają zorganizować w 1971 r. plener architektoniczno-rzeźbiarski i malarski z udziałem wybitnych plastyków Okręgu Lubelskiego i innych Okręgów w kraju.*

Nagle wstaje jeden artysta lubelski i zaczyna mówić na temat „Roli plastyki i rzeźby (formy przestrzennej) w rozwoju urbanistycznym miasta". Zebrani dowiadują się, że „Polska jest potentatem pomnikowym", a celem pleneru uatrakcyjnienie plastyczne ulic oraz porządkowanie plastyczne ośrodków przemysłowych i usługowych. „Plener będzie ogólnopolski" — dodaje na koniec, konfudując nieco sprawozdawcę, który słyszał o wysiłkach sprowadzenia do Chełma londyńskiego Anglika z Bilgoraja, posiadającego patent na technologię barwnego cementu. Pogadanka, jak chce program szczegółowy, miała trwać pół godziny, lecz prelegent zmieścił temat w 8 minutach.

„Ilu miało być artystów i z jakich ośrodków ich zaproszono?" — pytam w dyskusji. „Czternastu. Z Lublina, Nałęczowa i Świdnika, jednego z Łodzi, dwóch z Warszawy" — odpowiedział komisarz.

Dalsza dyskusja ograniczyła się do informacji o miejscu spania i żywienia artystów. Na tym zakończono inaugurację pierwszego w dziejach miasta pleneru plastycznego, finansowanego przez lokalne władze, wyposażonego w tworzywo przez wielki zakład przemysłowy, a od strony merytorycznej przygotowywanego od roku przez członka lubelskiego ZPAP...

...Trwa zjazdowa dyskusja, pewna zasłużona działaczka proponuje, aby Stowarzyszenie wyodrębniło zespół ludzi, którzy w soboty i niedziele będą jeździć na wieś, społecznie, i przygotowywać rolników, szczególnie młodych, do nowego życia w mieście. Chodziłoby konkretnie o wpajanie nowych obyczajów, sposobu bycia, o przekazywanie zasad współżycia w dużym mieście.

— Dziękuję działaczom społecznym za aktywność — wystąpił pod koniec członek Stowarzyszenia i kierownik PDK. — Dzisiejszy zjazd dostarczył wiele cennego materiału, który może zmienić profil naszego działania. Na niedawnym zjeździe wojewódzkim towarzystw regionalnych w Nałęczowie nie doszło do sformułowania recepty na regionalizm: wszystkie chwyty są dozwolone.

* * *

Ale czy racjonalne są chwyty, dzięki którym młodzież i inteligencja techniczna omijają Stowarzyszenie? Nie zmieni ono swojego profilu, bo w obecnym jego kształcie odbijają się indywidualne zainteresowania inicjatorów i animatorów tej zbiorowości, początkowo mającej charakter wyłącznie literacki. A jeśli się nie zmieni, jeśli będzie takie jak było i jest, to powinno chyba zdać sobie sprawę z daleko idącej „elitarności" form, które uprawia. Ciągle te same nazwiska, ciągle te same sytuacje, mocno zakorzenione w chełmskiej rzeczywistości hierarchie, a przede wszystkim — konwencjonalne pojmowanie problematyki właśnie najbliższej, bo artystycznej. I hołublenie tych konwencji tylko dlatego, że chełmskie, regionalne, nasze.

Kultura artystyczna przechodzi dziś nie spotykane przeobrażenia, ujawniające się często pod postacią głębokiego kryzysu społecznego: teatru, poezji, sztuki. Skutecznym ratunkiem przed śmiercią społeczną okazuje się w wielu wypadkach znalezienie innej niż dotychczas drogi do odbiorcy tej kultury, drogi wciągającej go do uczestnictwa w procesie kreacji. Happening, environment, sztuka efemeryczna, częściowo sztuka konceptualna — oto przykłady z zakresu plastyki. Zbliżone w swej istocie można również odszukać na terenie teatru i fotografii. Czy Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej, czy poszczególni członkowie sekcji twórczych spróbowali kiedykolwiek wyjść poza schematy działań popularyzacyjno - artystycznych, uświęcone czcigodną tradycją? To prawda, że ludzie o aspiracjach artystycznych, działających w ramach Stowarzyszenia, są w gruncie rzeczy amatorami. Ale to amatorzy o pewnym dorobku i chyba wyższych niż potocznie ambicjach, o większej wiedzy, przynajmniej w zakresie konkretnego rodzaju sztuki. Jestem przekonany, że widownia teatru chełmskiego zapełniłaby się po brzegi, gdyby teatr skorzystał na przykład z doświadczeń warsztatowych scen studenckich. Studenci to też w końcu amatorzy, tylko pozbawieni oporów w poszukiwaniu i przyswajaniu nowych rozwiązań teatralnych oraz stawiający w swoich spektaklach i s t o t n e pytanie dotyczące egzystencji w s p ó ł c z e s n e g o człowieka. Wiem, to niesie ze sobą możliwości lokalnego skandalu. No cóż, sztuka bez skandalu, bez prowokowania, nie istnieje.

Z drugiej strony, jeśli Stowarzyszenie posiada sekcje innego rodzaju — historyczną i folklorystyczną — to co stoi na przeszkodzie powołania kolejnych sekcji, nacelowanych na problematykę wyłącznie współczesną, taką na przykład, jaką niesie rozwój przestrzenny miasta, jego architektury i urbanistyki? Oczywiście, takie rozumowanie przekształciłoby w końcu Stowarzyszenie w zlepek instytucji, dublujących lub wyręczających pracę już działających organizacji. Zresztą, czy tak nie jest już obecnie?

W gruncie rzeczy rolę stowarzyszenia regionalnego widzę pod postacią sumienia obywatelskiego, interweniującego wszędzie tam, gdzie zachodzi tego potrzeba, pod postacią grupy nacisku, która dysponując shierarchizowanym rejesterem potrzeb regionu, w sobie dostępny sposób zmierzałaby do ich realizacji — przez odpowiednie instytucje powiatowe, wojewódzkie, nawet centralne.

Na zjeździe regionalistów chełmskich przedstawiono m. in. powiatowy plan rozwoju kultury w powiecie, plan stosunkowo rzeczowy i liczący się z realnymi możliwościami realizacji. Żaden z uczestników zjazdowej dyskusji nie wypowiedział się na jego temat, choć — jak przyrzekano w referacie — „Działalność SMZCh ściśle wiąże się z oświatą i kulturą". We wnioskach przyjęto jednak ten dokument „do realizacji".

* * *

Po kilku dniach byłem w Chełmie po raz trzeci. „Czterech plastyków jest". Nękany pewnymi wątpliwościami, proszę Zenona Stachirę, kierownika Wydziału Kultury Prezydium PRN w Chełmie, o słowo wyjaśnienia.

— Taką imprezę organizujemy po raz pierwszy, nie mamy więc żadnego doświadczenia. Zapewniliśmy warunki materialne pleneru, stronę programowo-artystyczną powierzając lubelskim plastykom; oni także mieli ustalić listę uczestników. No bo kto? Zależy nam na zainteresowaniu plastyką naszego społeczeństwa, które nie mając zbyt wielu okazji obcowania ze sztuką, niewiele rozumie z tego, co dzieje się dziś na jej terenie. W PDK zorganizowaliśmy kiedyś wystawę Kajetana Sosnowskiego, wybitnego artysty pochodzącego z Chełma. Przyjechał razem z obrazami, miał spotkanie, mówił o co chodzi w sztuce współczesnej i sądząc po dyskusji — chyba sporo ludziom wyjaśnił. Tego samego spodziewamy się po uczestnikach pleneru.

Po dwóch tygodniach w Chełmie zostało dwóch plastyków. Mimo wszystko idea pleneru plastycznego w tym mieście nie została, przynajmniej w moich oczach, skompromitowana. Skompromitowali się ludzie, po których spodziewano się wiele. Do przyszłorocznego pleneru warto jednak zacząć przygotowywać się już teraz.

Ireneusz J. Kamiński

Wróżenie teraźniejszości

W WYWIADZIE udzielonym przy pracy nad filmem „Salto" Tadeusz Konwicki wyraził opinię, że nie interesują go zjawiska i sytuacje normalne, że powód twórczości upatruje w niedopasowaniu, w przykrym odbieraniu świata, w przegranej. Jest to równocześnie coś w rodzaju pisarskiej autodefinicji — przynajmniej odnośnie okresu, którego początkiem był „Sennik współczesny". Popatrzmy: „Sennik współczesny" — nieomal kłąb wróżebnego dymu wysnuwającego genealogię naszej współczesności z wynaturzeń i zbrodni czasów pogardy; „Wniebowstąpienie" — samotny dryf nieokreślonego kogoś dotkniętego utratą pamięci po zepchniętych na margines realiach „normalnego" życia; teraz „Nic albo nic"* perypetie osobnika podejrzanego i podejrzewającego się o seksualne zbrodnie na kobietach z okienkiem retrospektywy ku partyzantce. Można powiedzieć, że ten klimat się już w pisarstwie Konwickiego ustalił. Klimat niepewności, nieautentyczności, niepełnego światła pozostawiającego w mroku najzasadniejsze kwestie człowieka: kto ja jestem? gdzie jestem? po'co jestem?

Jest to w naszej współczesności literackiej przykład pisarstwa zanurzonego w problematyce moralnej i ontologicznej aż po metafizykę, ale pisarstwa kołującego w kręgu nie tyle poszukiwań, co zaklęcia. Konwicki nie dochodzi do mroków dumy ludzkiej. Konwicki z niej wychodzi. Samo pojawienie się problemu ciągnie za sobą cień. Mamy wrażenie, że z głębi jaskini wynurzająca się postać zarysuje się wreszcie konturem określającym migotliwy refleks. I postać wychodzi, ale wychodząc zahaczy o nokturnową draperię rozwieszoną na zapomnianym stelażu; więc i dalej nie wiemy jakiego rodzaju kształt poruszył naszą uwagę w registrach niesamowitości. Wyjaśnienie wraca do punktu wyjścia: do zalążka kwestii. Kurtyna idzie w górę, ale sceny nie odsłania, ponieważ zakrywa ją jeszcze bezwzględniejsza kurtyna ciemności.

Niewątpliwie wszelka uczciwa próba dotarcia do komplikacji współczesnego nam czasu raczej skazana jest na mrok labiryntu. Współczesna poezja głosami naiwnych jej apologetów domaga się nawet pewnej „ciemności" jako rezultatu zabiegów stylistycznych, co jest już humorystycznym nieporozumieniem. Tylko — na dobrą sprawę — jaki najświetlistszy szczegół, jaki najsrebrzystszy poranek nie jest w pisarstwie powodem refleksji im dociekliwszych tym bardziej zasnutych mgłą niepoznanego? „Dwoje nas w ciszy polnego zakątka" — ten wiersz Leśmiana czytało się za szkolnych czasów jako niemal wiązkę promieni rozświetlających piękno przyrody. A ile w nim cienia? Więc może za pośrednictwem pisania zasłaniać świata nie potrzeba?

Nie wiadomo co, nie wiadomo gdzie i nie wiadomo kiedy — choćby nawet jak rezultat dociekań filozoficznych daje jednak pewną szansę ułatwienia pisarskiego. Czytamy niby o ludziach uwikłanych w konkretne sytuacje, ale obraz życia jako rezultat narzędzia poznawczego i narzędzia kreującego rozwadnia się coraz bardziej na rzecz perspektywy uciekającej w mrok, gdzie źrenica się wprawdzie podnieceniem rozszerza, ale też i zatraca zdolność widzenia.

Nie oczekuję w każdej powieści balzakowskiej socjologii, epizodów wynikłych ze studiów nad obyczajowością i ekonomiką środowiska, przeźroczy werystycznie oddających sztafaż historycznego tła. Nie jestem natomiast poza prawem oczekując rzeczywistych implikacji bohatera w realia jego czasu i czując pewien niedosyt spotykawszy na tym miejscu upozorowaną na realizm poetycką opowieść o tragizmie ludzkiego losu. Opowieść na dobrą sprawę pozbawioną odniesień czasowych, biblijną i eschatologiczną. Przymknijmy przez moment oczy na różnice stylistyczne: Miciński naszych dni.

Zauważmy też niebezpieczeństwo monotematycznej obsesji człowieka-niewiedzącego-o-sobie. Darek (co więcej? samo imię? tak: mówimy o kimś bliskim; Konwicki uczynił go bardzo dalekim, bo nawet nie znanym z nazwiska) po prostu sobowtór bohatera „Wniebowstąpienia". Ba: on sam. I nieokreśloności charakterologicznej głównej postaci nieodmiennie odpowiada socjologiczna nieokreśloność społeczeństwa. Jakaś grupka realizatorów „skoku" na bank, jakiś seansik z przesadą alkoholu w podrzędnej knajpie, ktoś nieustannie zafrasowany zbawieniem duszy, ktoś nie nadzwyczaj udatnie szpiegujący, jakaś dziewczyna niby znana, ale nawet nie konkretyzująca się w żadnym imieniu — te z obu powieści przytoczone elementy absolutnie nie domagają się rozdzielenia odrębnymi okładkami. Z powodzeniem można przemieszać kilka albo kilkanaście scen z ostatnich powieści Konwickiego bez najmniejszego uszczerbku dla ich wymowy. Ich — scen i książek.

Także — partyzantka. Doświadczenie pokolenia Konwickiego przesiąknięte jest pieśnią o wierzbach, które się rozszumiały i stenach wydających szczęk, dlatego każda ewokacja tego tematu wydaje się we właściwym kontekście, wydaje się funkcjonalna. Ale jest funkcjonalna w świadomości pokolenia wywodzącego swój rodowód z podziemnej walki zbrojnej, natomiast nie zawsze jest funkcjonalna w materiale kreacji artystycznej. I owe prześwity retrospektywne prowadzące czy zdolne prowadzić narrację z każdego niemal miejsca w las, nie całkowicie leżą w stylistycznej i problemowej tonacji utworu. Ostatecznie nie walczyło się tam tylko z majakami podnieconej gorączką wyobraźni, nie przeżywało się czasu jako sposobności do konfrontacji charakterologicznych i nie ...odbywało aktów płciowych opisanych zresztą świetnie, ale w ilości co do której przesadza cała partyzancka literatura. W „Nic albo nic" partyzant to albo ekstatyczny stygmatyk kontemplujący niezmierzoność świata, albo prostacki osiłek pilnujący swej kolejki do Hani. Wiem, jakie ma prawa zamierzony kąt widzenia, ponadto nie upominam się o jeszcze jedno wcielenie partyzanta — bohatera, ale wydaje się, że na tym przykładzie czytelnik może Konwickiemu wytknąć typowy dla niego gwałt na realiach popełniony w imię artystycznego założenia. O dowódcy oddziału, jak zapewnia narrator, śpiewają pieśni. Tymczasem kiedykolwiek się pokazuje na ganku, widzimy tabetyka przyciskającego poduszkę bez poszewki pod rozmemłanym kożuchem i po kilku słowach czym prędzej śpieszącego do swego miejsca za piecem. W warunkach, kiedy niemiecka obława otoczyła las artylerią...

Przekora? A rebours? Można przyjąć, że skoro życie według filozofii Konwickiego urządza człowiekowi zyg-zyg-marchewkę, to człowiek powinien mieć prawo do tego samego pod adresem życia, a skoro to jest nie możliwe, to przynajmniej — autor w stosunku do czytelnika. Odschemacić więc sytuacje zakrzepłe w papier-maché, poprzewracać kierunkowskazy banalnych i automatycznych kojarzeń, wyrzucić przed oczy podszewkę. Owszem, ironia ma swą rozległą perspektywę intelektualną, nie jest jedynie narzędziem interwencji. Ale ironia to postawa totalna. A więc agresywna filozoficznie w stosunku do rzeczywistości, atakująca ją na całym froncie fenomenów, właściwości, dziedzin. Nie szukająca ułatwień w postaci jednego wyłączonego adresu, czy jednej okazji. Dlatego postawa Konwickiego ironiczna wbrew pozorom nie jest. Jest tragicznością poszukującą złagodzenia w niewiedzy.

Na koniec wypada dojść do wniosku arcyschematycznego. Że czekamy na następną książkę. W tym wypadku to jednak nie konwencjonalny zwrot, ale wyraz sytuacji nader ciekawej: zawężenia się pewnych postaw światopoglądowych i środków stylistycznych w obrębie paru niemal przez to identycznych realizacji pisarskich. Którędy i jaka stąd droga? Oraz — czy zostanie podjęta? Oto pytanie z pewnością w równym stopniu co czytelnika pasjonujące samego autora.

grafoman – **Zygmunt Mikulski** +27

* Tadeusz Konwicki: „Nie albo nie". Czytelnik, 1971, str. 291, cena 18 zł.

Krzyżówka nr 24

1. kolorowy ptaszek, niewiadomo czego nazwa jego jest obraźliwa, 6. nie rośnie na dłoni, 9. leczenie ciepłem, 10. największa wyspa Filipin, 11. ilustracja w książce, 13. polski pisarz, podróżnik polarny, 16. hrabina z powieści A. Dumasa (wspak), 17. lipcowy solenizant, 18. trawa z ziemią, 20. odcinek trasy, 21. przycisk z bibułą, 22. siatka do rozkładania fotografii do druku, 23. francuski poeta awangardowy polskiego pochodzenia, 28. gaz bojowy, 30. duże miasto w Litewskiej SRR, 31. polska pisarka współczesna, 32. umówione sygnały ostrzegawcze, 33. początek złego kończącego się na koniu.

PIONOWO:

1. miasto przemysłowe w woj. rzeszowskim, 2. Conrad, 3. pilot, 4. pomieszczenia samochodów, 5. barokowe ozdóbki, dzieci ze skrzydełkami, 6. dramaturg polski okresu międzywojennego, autor komedii „Szczęście od jutra", 7. minerał, składnik granitu, 8. owady niszczące całe połacie upraw, 12. współczesny wybitny pisarz polski, 14. rozkazujący, 15. brak, usterka, 17. różnica widzenia przez obiektyw i celownik aparatu, 19. wezwanie, 24. wojskowy wyższego stopnia, 25. wielkie miasto w Pakistanie Zachodnim, 26. polecenia, 27. wiersz miłosny, 29. składacz.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

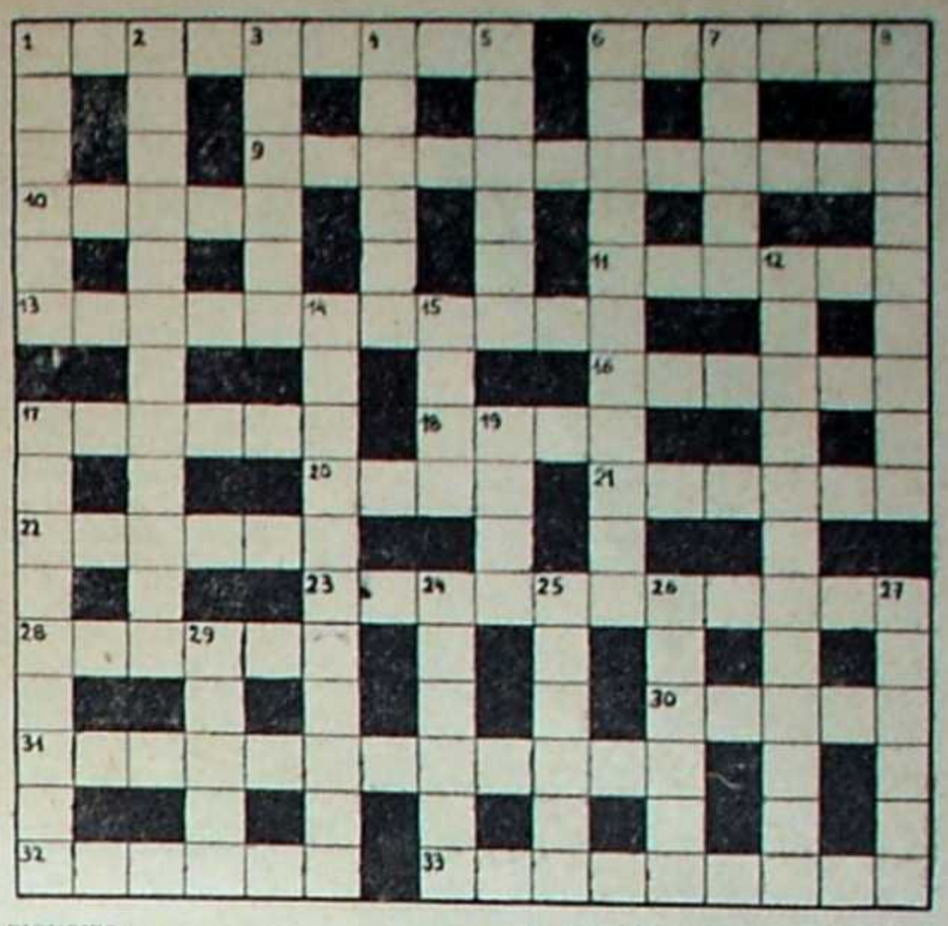

Rozwiązanie krzyżówki Nr 22

POZIOMO:

Maeterlinck, step, efekt, Grottger, Ren, Wola, epigon, klucze, laur, Lee, Wilno, cygaro, Kama, Epir, podpis, agora, ile, laurki, Oborin, oko, Ilf, Szenwald, pomoc, Ikar, Apollinaire.

PIONOWO:

metr, Erenburg, Eneasz, Litwa, nagana, Kromer, Set, Parandowski, Gogol, Kochanowski, Eloe, leki, Ulm, ind, akr, aria, apel, pal, Parnicki, Opole, Angara, Grodno, anemon, sopel, fale, Ner.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 22 nagrody wylosowali:

Jadwiga Kubacka, Lublin, ul. Lubartowska 46/44; Henryk Janusek-Januszewski, p-ta Siedliszcze, wieś Marynin, pow. Chełm; Stefan Komorowicz, Skarżysko Kam., ul. L. Staffa 22/2; Antoni Myszkowski, Syców, ul. Kępińska 8/3.

Jak wykształcić model Polaka?

Dokończenie ze str. 6—7

rownictwa zorganizowało II ogólnokrajowy zjazd humanizatorów pracy — psychologów, socjologów, fizjologów pracy, pedagogów i lekarzy przemysłowych. Dopiero teraz te zawody zyskały sobie oficjalne miejsca w przemyśle, będą ujęte w taryfikatorach. W praktyce dopiero dochodzimy do tego, że ci ludzie będą mieli głos w zakładach pracy, że będą kształtowali motywacje ludzi, oceny. Dopiero dochodzimy do tego, aby na kierowniczych stanowiskach stawiać ludzi odpowiednio przygotowanych.

Dostatni: — Czytam ciągle w prasie zagranicznej, że gdy ktoś poszukuje dyrektora, to żąda obok innych dokumentów, także załączenia testów na ogólną inteligencję, bystrość myślenia, szybkość reakcji itd. Bez takich testów często nie można nawet marzyć o zajęciu stanowiska kierowniczego. Gdyby coś takiego zastosować u nas, także wobec już zajmujących te stanowiska?

Olesiejuk: — W reorganizacji społeczno-politycznej i ekonomicznej naszego kraju muszą być stworzone warunki, w których bezpieczeństwo i higiena pracy, człowiek pracy i właściwa polityka kadrowa będą w pełni doceniane. Bez tego nie ruszymy. Polityka kumoterstwa, różnych zakulisowych historii, które często decydują o awansach — wszystko to budzi społeczny protest i zniechęca młodych ludzi. Mam wiele lat praktyki nauczycielskiej i wiem, że młodzi nie są źli, psuje ich starsze społeczeństwo. Pozycja, awans społeczny i zawodowy muszą wynikać z rzeczywistych kwalifikacji i prawdziwej oceny pracy. To sprawa jakości. Mówiono tu, że celem społecznym są bodźce materialne. Czy to nie godzi się z ustrojem socjalistycznym? Nic bardziej banalnego, jak twierdzenie, że w ustroju socjalistycznym mamy pracować tylko dla społeczeństwa, dla przyszłości. Życie jest jedyne, niepowtarzalne, a więc szczęście należy się również jednostkom. Byt materialny jest sprawą ważną. Tym właśnie ustrój socjalistyczny ma być wyższy od innych, że człowiek w nim żyjący i pracujący będzie naprawdę człowiekiem. W tych warunkach dźwignie się cały naród, poprawi ekonomika i kultura. Naszym ideałem wychowawczym musi być pełny człowiek, wykształcony technicznie i humanista. W naszym oświeconym społeczeństwie musi być miejsce dla obu, a przede wszystkim dla nauki, która dotychczas nie zawsze była doceniana.

Mizińska: — Trudno, abyśmy dzisiaj sformułowali jakąś generalną receptę. Ale myślę, że jest rzeczą bezsporną, iż trzeba zerwać z tradycją, jakoby w planowaniu przyszłości naszego kraju mogli brać udział tylko ekonomiści, ludzie nauk ścisłych. Trzeba się tu domagać głosów filozofów, pedagogów, słowem humanistów. Konflikt technika — humanistyka jest konfliktem pozornym. Mści się na nas to, że dotychczas planowano tylko ekonomicznie, a więc wycinkowo.

Dostatni: — Głosów filozofów, pedagogów i w ogóle humanistów wysłuchuje się u nas dotychczas tylko na wysokim szczeblu, na razie w województwie jeszcze nie.

Jaworski: — Dziękuję państwu za uwagi. Nie będę tej naszej dyskusji podsumowywał, ale może po jej opublikowaniu zechcą na poruszone tematy wypowiedzieć się i inni nasi czytelnicy.

Listy do KAMENY

„Zbrodnia doskonała"

Z prawdziwą przykrością przychodzi mi donieść, iż nie przypadły mi do gustu redakcyjne innowacje? (błędy drukarskie? ulepszenia?), jakie znalazłem w swoim felietonie napisanym z powodu ostatniej lubelskiej „Balladyny". W tytule felietonu winno być: nie „Zbrodnia doskonała", lecz „Zbrodnia doskonała, albo o dwóch pannach na wydaniu", co oddaje nie tylko mój stosunek do reżysera, ale i — sztuki Słowackiego. Zdanie: „W lesie zaś Balladyna wyjęła scyzoryk i zabiła siostrę swoją Alinę..." winno kończyć się: „... bo tak przykazał reżyser". Obawiam się także, że i Słowacki nie byłby oczarowany redakcyjnym ulepszeniem jego tekstu. W „Balladynie" nie ma bowiem malin „czerwonych niby krew", lecz maliny „czerwone by krew", co nie jest bez znaczenia dla urody języka wieszcza Juliusza.

Pragnę zarazem wyznać, iż — wbrew sugestiom redakcji — nie miałem nigdy (Bóg mi świadkiem!) żadnych postanowień w stosunku do Bechczyc-Rudnickiej i nie wiem, na czym polega moja zbrodnia w stosunku do tej czcigodnej skądinąd pani(?!)... a coś takiego wynika z kontekstu redakcyjnej notki. Pozostaję do usług.

Lechita

Od redakcji: Lechita przysłał nam rękopis swego felietonu, nie sprawdzał maszynopisu, stąd łatwo mogły wkraść się błędy. Tytuł felietonu skróciliśmy z uwagi na brak miejsca. Redakcyjną notkę powinien Lechita potraktować tak żartobliwie, jak redakcja potraktowała jego felieton.

„Chichotać z bezsilności?"

W 22 numerze „Kameny" przeczytałem dwie wypowiedzi w dyskusji na temat ochrony zabytków w Polsce, zainicjowanej artykułem Ireneusza J. Kamińskiego pt. „Chichotać z bezsilności?". Wypowiedzi te autoryzowali konserwatorzy z Wrocławia i Szczecina, akcentując wagę problemu i szereg innych zagadnień pokrewnej natury. Tematyka ta interesuje mnie szczególnie, dlatego też śledzę odpowiednie artykuły, ukazujące się na waszych łamach. Do dziś jednak nie spotkałem artykułu, który, moim zdaniem, winien ukazać się w pierwszej kolejności, zaraz po publikacji I. J. Kamińskiego. Mam na myśli artykuł — wypowiedź Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki, instytucji kierującej polityką w zakresie opieki nad zabytkami. Publikacja „Kameny" naświetlała problem generalnie i krytycznie, proponując zarazem pewne formy i metody wyjścia z impasu, w jakim niewątpliwie znalazła się ochrona nad zabytkową architekturą. Niezajęcie stanowiska przez Zarząd przychodzi mi interpretować jako bardzo lekkie potraktowanie zagadnienia, które do lekkich i łatwych nie należy. I jak tu się dziwić, że zabytki w Polsce, mimo wielomilionowych nakładów na ich konserwację, niszczeją, a stosowana obecnie organizacja ich ratowania — permanentnie zawodzi!

Leszek Demidowski
Chełm

OD REDAKCJI: Numer „Kameny" z artykułem I. J. Kamińskiego, wraz z odpowiednim pismem przewodnim, przesłaliśmy do Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków już cztery miesiące temu. Do dziś jednak nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Nie tracimy przecież nadziei, że takowa trafi w końcu do redakcji.

Sprostowanie

Autorką artykułu „Za wysokie progi", opublikowanego w numerze 23 „Kameny", jest p. mgr Jadwiga Mizińska, a nie Miazińska, jak to błędnie wydrukowano. Czytelników i autorkę bardzo przepraszamy.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał KONSTANTY KĘPA

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 33

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 253-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-31

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 2741. 3.XI.71. 10.318. A-4

Kamena str. 11

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Tego jeszcze tutaj nie było! Trawestacja współczesna pod samego Mickiewicza! Wprawdzie patriotyzm, że tak powiemy, narodowy przemienia się tylko w lokalny, ale zawsze to konstruktywne uczucie. Pan S. S. z Olbięcina funduje nam tekst pt. „Trzy córki":

Stara matka trzy córki, zgrabne tak jak wiewiórki,
Przywoławszy do siebie, powiada:
„Skończyłyście liceum, odśpiewajcie TE DEUM
I ruszajcie, gdzie dobra posada!

Najlepiej jest dziewczynie mieć posadę w Lublinie,
Kędy Unię zawarto przed laty.
Gród to dzisiaj jest wielki, można kupić mebelki
I wszystko tam dostaniesz na raty.

Gościeradów też ładny, chociaż nie tak paradny,
Prewentorium tam widać i lasy.
Jest gdzie iść na spacery, grzybów jest do cholery,
Można sobie z nich robić zapasy!

W Olbięcinie jest łatwo znaleźć pracę nad dziatwą,
Tam w zakładzie dla dzieci jest ślicznie.
Gdy tam panna przychodzi, zaraz za mąż wychodzi
I pracuje nad dziećmi praktycznie!

Jedna z was do Lublina niechaj jedzie dziewczyna,
Niech pracuje tam dzielnie, ofiarnie!
Druga w Gościeradowie o posadę się dowie,
Trzecią niechaj Olbięcin przyparnia!"

Taką dawszy przestrogę, pożegnała na drogę,
Córki w wozy gotowe wnet wsiadły.
Przeszła jesień, jest zima, córek nie ma i nie ma.
Matka myśli, że w świecie przepadły.

Pośród śnieżnej zamieci skądś autobus tu leci,
W nim najstarsza córunia jedyna.
— Czy to mebel, ma córko, ciągniesz w moje podwórko?
— Nie, mamusiu, to mąż z Olbięcina!

Czyż trzeba dodawać, że i dwie następne córy z Olbięciniakami w matczyne wróciły podwoje! Jedno się tylko tutaj nie zgadza — tytuł. Kazio Grześkowiak śpiewa o pannach z Cicibora, dlaczego byśmy nie mieli głosić sławy panów z Olbięcina?

Temat jak Bystrzyca

O KULTURZE można nieskończenie. Nie tylko zresztą o kulturze. W naszym kraju mniej czy bardziej mądrze mówi się dziś o wszystkim. Jak dożyjemy, zobaczymy, co z naszego gadania wyniknie. Na szczęście, mniej zaczęliśmy już myśleć o naszych nienarodzonych prawnukach, a bardziej... o nas samych. Żaden egoizm! Nasi pradziadowie też nie byli zbytnimi altruistami i za to ich dziś nie potępiamy, a wprost przeciwnie — często gloryfikujemy.

Najbardziej niecierpliwi są młodzi. Ot, lubelscy ZMS-owcy wymyślili sobie coś na wzór telewizyjnej Trybuny Obywatelskiej, patronuje temu dział miejski „Sztandaru Ludu" i co pewien czas zainteresowani — młodzi, starsi i całkiem starzy — zbierają się w przytulnej salce MKPiK. Z jednej strony — tzw. prezydium, z drugiej — szara masa, ale w tej szarej masie też są osoby, którym każe się odpowiadać. Dobrze im tak, niech nie przychodzą. Albo niech od razu zasiądą w prezydium, chociaż ciasno tam wielce. Wiadomo, dziesięć głów to nie jedna. Wprawdzie niektóre mogą się tylko kiwać, ale to znak, że ciało żyje. A jak żyje, to już dobrze, chociaż nie każde potakiwanie może oznaczać zachodzący w głowie proces myślenia. Nie tak znów dawne doświadczenia ilustrują ów problem najlepiej.

No więc 5 bm. nabiła się salka MKPiK po brzegi, spóźnialscy stali na korytarzu, późniejcy, co wytrwalsi, znaleźli jakieś miejsca, bo nie każdy znów może trzy godziny spokojnie na własnej sempiternie przesiedzieć.

Tematem spotkania były problemy lubelskiej kultury. Temat — rzeka. Jeśli już nie Wisła, to przynajmniej Bystrzyca. Pytania zgłoszono uprzednio. Podobno było ich czterdzieści, ale ponieważ na pierwsze cztery prezydium odpowiadało przez bodaj półtorej godziny, więc w trakcie nasiadówki część pytań ulotniła się jak eter. Może i dobrze, bo i tak temperatura zbyt letnia się nie okazała.

Zaczęło się od polityki kulturalnej. Pytanie nie należało do najkrótszych, odpowiedź również. Pani kierowniczka z wojewódzkiej kultury powiedziała, że politykę kulturalną ustala Wydział Kultury KC, a władze wojewódzkie, tudzież miejskie, mają obowiązek tę politykę realizować. Potem była mowa o planie perspektywicznym rozwoju kultury do roku 1980, o tym, że ideałem jest, aby w każdej wsi był wiejski dom kultury, ale na to nas nie stać, muszą więc nam wystarczyć kluby „Ruchu", Rolnika, ośrodki przyszkolne. Powiatowe domy kultury dysponują kadrą instruktorską i ta kadra ma z kolei obowiązek dojeżdżać do klubów wiejskich, udzielać im pomocy merytorycznej.

Nie było to odkrycie Ameryki, ale nikt się nie dziwił, bo Kolumb już to dawno zrobił. Po co — nikt nie wie, w każdym razie, gdyby tego nie uczynił mielibyśmy dzisiaj znacznie mniej kłopotów. Ale to dygresja, bo można się rozpędzić i przejść na zagadnienie imperializmu.

Dalej było o problemie kadr. Że są ludzie przypadkowi. Jak władze widzą odnowę w kulturze?

Prezydium chwilę milczało (zapisałem nawet: długie milczenie). Pani kierowniczka ratowała honor i powiedziała, że nie ma statusu pracownika kultury. Ale są kursy specjalistyczne.

Wówczas jakiś dość nerwowy pan, który siedział przede mną, nie wytrzymał i oświadczył, że w działalności kulturalnej są dwie grupy: ci którzy pracują zawodowo, i ci, którzy amatorsko. I z tymi, którzy pracują amatorsko, nie zawsze jest najlepiej. To znaczy, że przepisy, że takie czy inne obawy i że w ogóle.

Pani kierowniczka nie bardzo wiedziała, o co chodzi nerwowemu panu, muszę przyznać, że ja też niezbyt się orientowałem, ale nie muszę znać wszystkich kulis. W każdym razie pani kierowniczka apelowała, aby się ludzie wypowiadali, bo sam Wydział Kultury nie jest w stanie wszystkiego wypracować. Nie czekamy — powiedziała — na koncepcje odgórne. Co przedstawiamy, to nasze.

Przedstawiciel „Sztandaru Ludu" chciał już czytać dalsze pytania z listy, ale kolejny niecierpliwy pan zapytał, jak to jest z tym klubem na Alei PKWN. Tam, albo gra orkiestra, albo wszystko zamknięte na cztery spusty.

Dyrektor „Ruchu" uaktywnił się wówczas i z dyplomatyczną swadą wszem i wobec oznajmił, że „Ruch" kupuje sprzęt, ale nie odpowiada za treść merytoryczną. Są społeczne rady klubów, a we wspomnianym klubie rada jest zapewne zła. Nie poszedł tak daleko, by zaproponować zmiany personalne w tej radzie. Osobiście zresztą nie wiem, kto ma takie zmiany przeprowadzać. Ale dyrektor mówił zwięźle, głos ma sympatyczny, więc wszyscy wysłuchali w skupieniu, czyli bez-Ruchu.

Potem któryś z ZMS-owców pochwalił klub na LSM-ie przy ul. Grażyny, więc siedząca obok mnie kierowniczka tego klubu pięknie się rozpromieniła, choć i bez tego uśmiechu buzię ma owszem, owszem.

Z kolei zabrał głos dyrektor WDK, który ku pokrzepieniu serc zapodał, że jedna czwarta pracowników domów kultury ukończyła wyższe studia.

Teraz można było przystąpić do dalszych, przygotowanych uprzednio, pytań.

— Co związek plastyków zrobił dla młodych plastyków?

No i się zaczęło! Wywołali wiceprezesa związku plastyków, który siedział nie w prezydium, co bardzo oburzyło pewnego literata, mało ostatnio udzielającego się publicznie, a wiceprezes, podkreślając, że bardziej mówi prywatnie niż urzędowo, zaczął od pieniędzy. To znaczy od tego, że ich nie ma. Związek plastyków nie dysponuje pracowniami. A w Olsztynie, a w Warszawie dają plastykom pracownie. Składamy podania, które rosną. Koledzy po 15 lat czekają na przydział. A w ogóle, co my możemy dać, jeśli nawet nie dysponujemy stypendiami? Płaci się składki, ale składki zabiera Warszawa, czyli zarząd główny. Zarząd pomaga nam ideologicznie, a nie materialnie. No i żeby ojcowie miasta pomogli.

Znów tam ktoś nie wytrzymał i zaprotestował, że nie odpowiada prezydium, ale prezydium nie czuło się zbyt kompetentne w tej sprawie. Padło pytanie: — To po co prezydium? I stało się wesoło jak na imieninach u cioci Zosi.

Ale tylko na moment, bo wstał starszy pan i rzekł ostro:

— Związek plastyków nie tylko nie pomaga, ale szkodzi.

Nowy wiatr powiał, szybko więc zaproponowano, żeby sprawy związkowe załatwiać we własnym gronie, czas leci, a tu jeszcze tyle pytań.

No to przyszła kolej na prezesa literatów. Odpowiadał na pytanie, jaki jest dorobek lubelskich ludzi pióra.

Słowo daję: odpowiedział! A potem mówił mądrze o kulturze w szerokim tego słowa znaczeniu, nie śmiem cytować, żeby nie przekręcić.

Zabrał jeszcze głos wiceprezydent miasta. Jego zdaniem frekwencja na dzisiejszym zebraniu świadczy, że ludzie interesują się kulturą. A potem była wielka niemożność. Wiceprezydent pytał sali, co wydało mi się bardzo demokratyczne, za co odpowiada miejski wydział kultury? A w ogóle to MRN ma dać, a WRN przydziela. Plastycy narzekają, że nie mają pracowni, a nie chcą pomóc w estetyce miasta. Bo plastycy zajmują się innymi sprawami.

Pomyślałem, że plastycy powinni chyba podkuwać konie. A jeśli chodzi o estetykę miasta, to wiceprezydent i prezydent muszą pomyśleć przede wszystkim o tym, co by tu zrobić, aby nasz Lublin nie był taki potwornie brudny. Nie mam kożucha, ale kwiatka do kożucha bym i tak czy siak nie przypinał.

I na zakończenie naprawdę najmądrzej — przepraszam za tę laurkę — wywnętrzył się, niemal serce na dłoni położył, kierownik od miejskiej kultury. Strasznie żal mi było tego człowieka i wydziału, którym kieruje. Bo ten wydział tylko rejestruje fakty. O koordynacji poczynań można mówić jedynie wówczas, gdy istnieje możliwość egzekwowania postanowień. Wydział nie decyduje o kadrach w poszczególnych klubach, bo każdy klub sobie rzepkę skrobie. Jest ocean przepisów, które trzeba raz wreszcie obalić zamiast, jak dotąd, je omijać. Mamy 100 tysięcy złotych rocznie na pomoc dla twórców. Związki przesyłają kandydatury. Nikogo nie skreślają, tylko ciągle dopisują nowe nazwiska. Skąd my weźmiemy pieniądze?

Głowy wszystkim popuchły, mnie się zrobił pęcherz od robienia notatek, teraz znów odciski na czubkach palców od stukania na maszynie. Kupa ludzi pozgrzytałaby zębami, ale zęby już na kulturze zjedli...

A jakie wnioski?

No właśnie: jakie na miłość Marksa?

MAJ

MINUTA MYŚLENIA

Kłopoty czytelnika

W KOŃCU już nie wiem. Wychowanego — aczkolwiek nie przesadnie — na „starej, dobrej" kulturze humanistycznej trafiają mnie artykuły z zapewnieniami, że słowo jako środek wyrazu artystycznego się kończy. Że ciągle się coś kończy: obraz, teatr, nawet film. Pełen wątpliwości wiem niezbicie jedno, że kończy się moja orientacja. Odnośnie postawy jaką mam zająć wobec nieustannych wróżb o rychłym końcu. Bo cóż. Nie wierzyć? To trwać na okopach Świętej Trójcy, znaleźć się poza nurtem wydarzeń i pozostać na ślepym torze. Uwierzyć? To chyba wynieść do pojemnika na śmieci moją bibliotekę stopniowo, by nie uczynić trudności odwiedzającej mój blok mieszkalny kolumnie MPO. Biblioteka jest wprawdzie niewielka, ale zawiera parę dzieł, do których się przywiązałem. Tkwiącemu w niej Brandysowi, Żukrowskiemu, Putramentowi i Lemowi trudno będzie wytłumaczyć, że wymawiam im mieszkanie, ponieważ przeczytałem artykuł we „Współczesności".

Także nie wiem, jak jest z tym, co się inteligentnie nazywa progiem debiutu. Wysoki czy niski? Tylu młodych poetów piszczy, że się nie może „sprawdzić" w druku, a seria poetycka Wydawnictwa Lubelskiego liczy już coś pięćdziesiąt, czy sześćdziesiąt pozycji. Zupełnie jak z obuwiem. Spojrzysz na półki sklepowe — tłumy buciorów niemal rozpędzone w biegu do klienta. chcesz kupić — numery albo o dwa za duże, albo o jeden za mały. W końcu nie wiadomo jak wesprzeć stroskanego posiadacza walizki maszynopisów. Że Norwid też niewiele publikował za życia? Że nie warto drukować, bo słowo się kończy? Że krótsza kolejka w „Trojce"?

Takoż i z tą popularnością. Konkursy recytatorskie są? Są. Estrady poetyckie? Jak wyżej. Również wszelkie zespoły żywego słowa. A z drugiej strony rzuć nazwisko: Waśkiewicz, Stanclik, Zadura. Trafi w przejęcie jak wykład o konstrukcji pojazdu kosmicznego.

Jeszcze bardziej pogłębia moją dezorientację fakt nieustającej produkcji wydawniczej. Ciągle są jakieś książki. Ciągle mam coś do czytania. Ale musiałbym wiele nakłamać, by stwierdzić, że znajduję w tym satysfakcję. Nie z racji przesadnych wymagań. Jestem czytelnikiem lojalnym, staram się wiernie towarzyszyć autorowi we wszystkich jego krokach, nie spodziewając się, że zawsze „idzie skacząc po górach". Tylko nie zawsze doczytam się do powodu napisania książki. Tu znów jak z piosenką. Dziewczyna z głosem co najwyżej na prywatny wieczorek towarzyski, a słucham jej recitalu w telewizji. Nie znaczy, że każdej stronicy autora muszę przeczyć. Ale też i zgoda wynika z tej obojętności, w której mnie autor ukołysał nie ryzykując dialogu.

I co. Muszę się śpieszyć, bo w zapowiedziach wydawniczych idą książki następne, wobec których nie wypada mi zająć postawy biernej, skoro poprzednim nie odmówiłem uwagi. To jeden powód. Drugi — że może będą lepsze. Pozostawiam na uboczu tego zjawiska kwalifikację artystyczną. Ale jak mam uwierzyć, że słowo się kończy, skoro taką łapczywość na nie wykazuje machina wydawnicza, przyjmując prawie „wszystko jak leci"? Jest i w tym jakiś element zagadnienia, który niechby nie został wyjaśniony. Bo zgodzę się, że moje przywiązanie do słowa trąci dziewiętnastowieczną myszką. Dlaczego jednak myszka jest identyczna z praktyką literatury siódmego dziesiątka dwudziestego wieku?

Nie wiem też, czy wytworzony lekturą obraz współczesnej literatury odpowiada istotnemu stanowi rzeczy. Nie mogę czytać wszystkiego z przyczyn fizycznych, zresztą nie wiem, czy w ten sposób uzyskałbym pożądaną pełnię informacji. Czytam w wyborze określonym dostępnością i nosem. Skąd mogę mieć wiadomość, w jakim stosunku moja próba pozostaje do puli reprezentacyjnej? Dlaczego tak często mój repertuar czytelniczy rozmija się z pozycjami podkreślonymi przez literacką krytykę na przedostatnich stronach czasopism? Czy się za dużo drukuje? Czy za dużo złych książek? Czy zbyt dowolne oceny feruje krytyka? Przysłowie mówi, że kto pyta, nie błądzi, a nie czuję, by mnogość powyższych pytań chroniła mnie przed uczuciem dezorientacji. Więc może z prognoz kassandrycznych najistotniejsza jest ta, że kończy się czytelnik? To któż mi — u licha — sprząta sprzed nosa książki, które zamierzam kupić, kiedy tylko pojawia się wydawniczy anons?

Jedna rzecz się rzeczywiście kończy. Jasność ocen. Bo i sami pisarze coś u siebie zgubili, poszukując tego w dyskusji na temat „sytuacji literatury".

Ijon

Wywiad z paniami z dziekanatu

— Jako przedstawiciel redakcji mam zaszczyt i przyjemność poprosić panie o chwilę rozmowy. Czy panie mogłyby rzec parę słów o tym, jak panie się czują na uczelni w charakterze długoletnich pracownic dziekanatu?

— Oj, panie redaktorze! Uczelnia to byłaby całkiem znośna rzecz, gdyby nie ci uczeni i studenci. Odgrodzenie dziekanatu od nich usprawniłoby naszą niezwykle trudną i odpowiedzialną pracę.

— A w jaki sposób pracownicy naukowi utrudniają paniom pracę?

— W najrozmaitszy. Najgorsze to są te ambicje. Ciągle im się zachciewa jakichś doktoratów, habilitacji czy ankiet i wniosków o profesury. Nie wyobraża pan redaktor sobie, ile przez to papierkowej roboty, protokołów i korespondencji z różnymi instancjami. Nawet spokojnie herbaty wypić nie można, a o rozwiązaniu krzyżówki czy innych poczynaniach intelektualnych to już w ogóle marzyć nie ma co!

— A czy panie nie starają się oddziałać wychowawczo na ukrócenie tych niezdrowych ambicji w pięciu się po szczeblach zawrotnej i błyskotliwej kariery naukowej?

— Owszem, naprosimy się nieraz, zwłaszcza w maju i czerwcu, by doktoranci i habilitanci odkładali swoje zakusy promocyjne na po wakacje, bo przecież jeszcze coś mogą sobie poczytać i douczyć się, jako że człowiek nigdy nie jest za mądry, ale gdzie tam! Żądza awansu naukowego jest silniejsza ponad rozum życiowy i ponad serce w stosunku do nas, pracowników umysłowych z prawdziwego zdarzenia. Uczeni po prostu zapominają, że to od nas, sił urzędujących, zależy, jak długo ich wnioski awansowe nabierają mocy naukowej w naszych szufladach!

— A czy dziekani nie zakłócają paniom urzędowania jakimś natrętnymi interwencjami czy ponagleniami?

— Pan redaktor nie bierze widać pod uwagę że dziekani się zmieniają, a my trwamy wiecznie, przeto z nami przede wszystkim trzeba się liczyć.

— A jakie kłody rzuca paniom pod nogi młodzież akademicka?

— Może mniejsze, bo tak się nie obraża za pouczenia, a i za drzwiami lepiej się czują, gdy takowe trzeba zamknąć na klucz przy nawale pracy. Ale średniowieczna spuścizna w postaci egzaminów, zaliczeń i indeksów zawala nam właściwą robotę. Na dodatek ci roztargnieni uczeni oblewają więcej studentów, niż nasz plan przewiduje — i znów przez to nadprogramowy kołowrót z sesjami poprawkowymi.

— Zapomniały panie o właściwej robocie dziekanatu, którą tak utrudniają pracownicy naukowi i studenci. Na czym ona konkretnie polega?

— O, panie redaktorze, to są tajniki naszej profesji, ale pan redaktor taki miły i młody, więc mu uchylimy rąbka. Otóż planujemy, i jeszcze raz planujemy!

— A co panie tak w swej uprzejmości zawzięcie planują?

— Zajęcia na cały dzień łącznie z posiłkami, w których — niestety — klientela nam najczęściej przeszkadza. Redagujemy też pisma do władz o przydział papieru na redagowanie pism do władz. Amortyzujemy telefon, realizując harmonogram kontaktów ze światem zewnętrznym po linii życia kulturalnego i na szczeblu towarzyskim. I wiecznie coś podtykamy dziekanowi do podpisu, by go ustawić administracyjnie, a odzwyczaić od spojrzeń naukowo-badawczych.

— A jakie reformy w dotychczasowej strukturze swej pracy wprowadziłyby panie na podstawie swych cennych doświadczeń?

— Przede wszystkimi zniesienie uczonych i studentów ze stypendiami włącznie, tudzież stworzenie odpowiednich warunków pracy w dziekanacie bez żadnych kontaktów z przemądrzałą klientelą. Dziekanat powinien stać się komórką prognoz i kuźnią harmonogramów, by tworzyć nowe życie, a nie więdnąć jako szczątek feudalnej przeszłości, tkwiący w zastygłej teraźniejszości.

*

W tym momencie ocknąłem się z koszmarnego snu, odetchnąwszy z ulgą, bo po pierwsze: jestem jeno czytelnikiem, a nie redaktorem przeprowadzającym wywiad, a po drugie: takie panie w żadnym przecież dziekanacie naszego kraju nie istnieją!

Kleszcz

Odpowiedzi redakcji

K. S. P. — w Lublinie. Istnieje możliwość wydrukowania wierszy, nawet tych, które Pan nadesłał, uznaliśmy bowiem, że zdradzają talent poetycki ich autora. Po pierwsze jednak musi Pan nieco poczekać, ze względów oczywistych i ogólnie znanych. Po wtóre — w okresie tego oczekiwania mógłby Pan skreślić do redakcji parę słów o sobie: co Pan porabia na świecie, czy i gdzie ma Pan opublikowane jakieś własne dokonanie literackie? Pozdrawiamy serdecznie i oczekujemy na wiadomość. PS. Przy okazji chcielibyśmy obejrzeć większy zestaw Pańskich utworów.

J. M. w Wólce Lubelskiej. Serdecznie Panu współczujemy i prosimy pisać do nas, kiedy tylko Pan zechce. Co się zaś tyczy nadesłanego wiersza, to nie jest on zbytnio udany. Ale — prosimy nam wierzyć — równie wielką satysfakcję można osiągnąć, czytając cudzą poezję, co pisząc ją samemu. Jest tyle książek na świecie, które warto przeczytać i które powinno się przeczytać. Czy o tym Pan pomyślał? To może brzmi banalnie, lecz rzeczywiście obcowanie z książką to obcowanie z drugim człowiekiem. Zachęcamy do głębokich lektur.

A. N. w Gliwicach. Podoba nam się zakończenie wiersza dedykowanego matce: „ale jestem/ daleko/ matko/ tak daleko jak/ z pokoju/ do kuchni". Nie podoba nam się zakończenie wiersza, którego akcja dzieje się w muzeum. Maj 1979 to nie jest żadna ważna ani cokolwiek mówiąca data. Potem — jak wiadomo — był grudzień 1979, a następnie kilka bardzo ważnych miesięcy. Przed nami data bodaj najważniejsza — grudzień 1971. Poeta winien się nieco orientować w chronologii politycznej swego kraju. Pośród tekstów nie odnaleźliśmy żadnego listu od Pana. Czyżby zaginął w stosie innych korespondencji?

„Gilberta" w Lublinie To, co napisałaś nie jest — rzecz jasna — poezją, ale świadczy o dociekliwości wobec spraw tego świata, o niepokoju młodej dziewczyny, która chce się jakoś, wstępnie przynajmniej, określić w stosunku do ludzkich przeznaczeń. Takiej rozważnej i głębokiej postawy możemy tylko pogratulować. Niestety, nie wierzymy w możliwość skutecznej porady w tej dziedzinie. Są to bowiem sprawy, które każdy człowiek musi rozwiązywać na własną odpowiedzialność i przez całe życie. Taka jest prawda. Być może, dałyby tu coś dyskusje czy rozmowy w gronie rówieśników lub w jakimś intymniejszym związku dwojga przyjaciół. Pozdrawiamy.

T. W. w Tyszowcach. Oceniamy to jako sympatyczne pensjonarskie wierszyki, absolutnie nie do druku. Znać w każdym razie, że dosyć pilnie studiujesz szkolne lektury, z czego się tylko można cieszyć, doradzając wszelako szerszy dobór poetów. W literaturze dzieje się wiele rzeczy, o których szkolne programy, niestety, milczą. Ambitny czytelnik, a tym bardziej ktoś piszący wiersze, musi się zapuszczać i w te rejony literackie.

H. K. w Białej Podlaskiej. Za wiersze pieniędzy Panu nie prześlemy ani nie ofiarujemy ich na konserwację fresków w kaplicy na Zamku, albowiem wiersza nie wydrukujemy, ponieważ słaby jest nadzwyczaj. Nie zgadzamy się też z następującą sentencją: „Ze snu zbudzony rodak/ wyjdzie na drogę i da w gębę. /I tak zakończy się ta pogoń/ za naszym jutrem — za postępem". Proszę Pana, od jednego dania w gębę się zakończy? Charakter Pańskiego pisma przypomina nam innego autora, któremu już odpowiadaliśmy w nie całkiem krzepiącym duchu. Ale to może tylko wrodzona nam podejrzliwość. Pozdrowienia w każdym razie przyjmujemy.

A. J. w Rzeszowie. Ani jednego wiersza nie jesteśmy skłonni „kupić". W ogóle jakikolwiek handel poezją to nie nasza profesja. Tak czy owak z dwojga złego lepszy wydaje się „Sen", przynajmniej nie tak rozgadany i pseudofilozoficzny jak „Słowo". Na przyszłość — więcej treści, mniej słów.

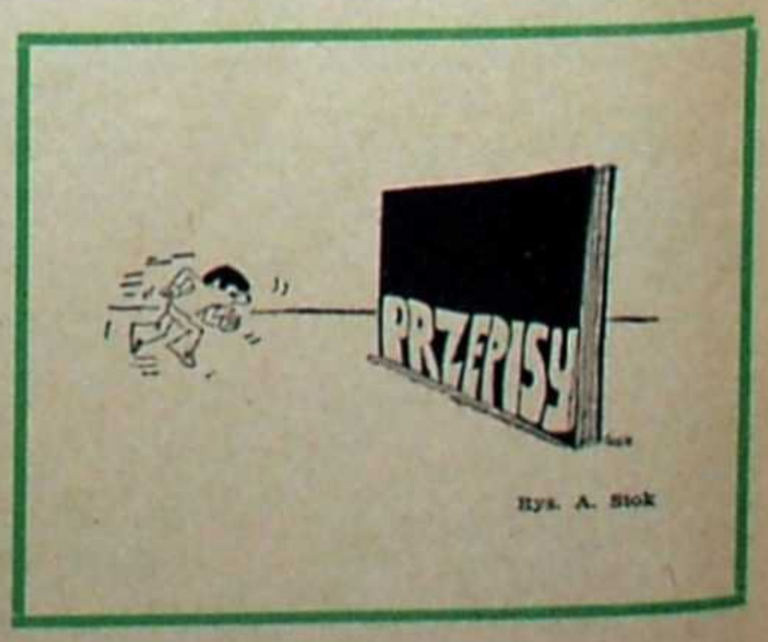

Rys. A. Stok